Nr. 42. Warszawa, dnia 3 (15) Października 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWA BULANŻERÓWKA.

Prąd sprawiedliwości i porządku, który przebiegł społeczeństwo francuskie pod postacią ruchu dopominającego się rewizyi procesu Dreyfusa, wzbudził przeciwko sobie dwa prądy, które sięgają daleko po za rewizyę i mogą przetrwać samo jej spełnienie się i jurydyczny skutek. Z jednej strony tworzą się wiry jakby duchowego militaryzmu, kształtującego pychę wojskową w cnotę obywatelską, z drugiej podnosi się stłumiona w r. 1889 reakcya przeciwko republikanizmowi. Duchowy ów militaryzm zespala ślepo wierzącego w swą armię obywatela z nieomylnym i nietykalnym żołnierzem i na progu praw wojskowości wstrzymuje wszelką kontrolę publiczną. Reakcya anti-republikańska, nakazując lekceważyć obecną organizacyę polityczną Francyi, zachęca do jej zburzenia. Z połączenia obu tych prądów, gdyby spotężniały, mógłby powstać tylko wojskowy zamach stanu: wielki naród już się do niego stęsknił.

Nazwiska „idealistów“ naczelnych dzisiejszej Francyi, Drumonta i Derouléde'a, wraz z wielu innemi, powtarzającemi się po dziesięciu latach, same już dają wskazówkę podobieństwa umysłowego, zachodzącego pomiędzy ruchem obecnym a bulanżerówką przeżytą w latach 1888 i 89. I metoda też jest ta sama i zakulisowe związki, gdy je historya, choćby tylko najbliższa, odsłoni, nie okażą się odbiegającemi daleko od dawniejszych. Jak wówczas pieniądze księżny d'Uzès, dawane Boulangerowi, były pieniędzmi orleanizmu, czyhającego na sposobność do wtargnięcia, tak i teraz do tej bandy wrzeszczącej na sprawiedliwość, ujadającej na rząd, że spełnia swój obowiązek, zbiegają się ludzie, namiętności i zamysły z obozu rzeczypospolitej wrogiego. Manifest ks. Filipa Orleańskiego z dnia 19 września, przyjazd ks. Ludwika Napoleona do Paryża, odwiedziny jego w Moncalieri, układ pomiędzy braćmi, wyobrażającymi w dzisiejszej Francyi ideę napoleońską, wieści o przygotowywanych *pronunciamentach*, pośrednio potwierdzone przez pierwszego ministra, Brissona,—przy dawniejszem jeszcze, po wrześniowych manewrach pobrzęknięciu szablą, na jakie pozwolili sobie gen. Négrier i Metzinger — wszystko to ostrzega o niebezpieczeństwie zmowy między myślą wywrotu a siłą materyalną narodu.

Czy przestrogi tej usłucha Francya?

Przyszłość sama uchyli swą zasłonę — przyszłość już niedaleka. W każdym razie dałby dowód krótkowidztwa ten, ktoby w obecnym ruchu antyżydowskim, chrześciańskim, patryotycznie-zachowawczym, widzieć chciał tylko walkę z Żydami a obronę honoru armii, honoru samego narodu. Nie, w robotach Drumonta, Déroulède'a, Rocheforta, w ich wiecach, ich zbiegowiskach, hałasach kawiarnianych i ulicznych, ich artykułach dziennikarskich — widać rękawicę rzuconą samej organizacyi republikańskiej, a nietylko ludziom dziś u jej steru wykonawczego stojącym.

Tydzień polityczny. Cesarz Wilhelm wyjechał d. 12 b. m. z Poczdamu do Jerozolimy; jedzie z nim i cesarzowa. Po drodze d. 14 b. m. spotkał się w Wenecyi z królem Humbertem. W Konstantynopolu zabawi dni kilka. Sułtan prawdziwie po sułtańsku go przyjmie. Wycieczki do Egiptu cesarz się wyrzeka. Chce zagaić osobiście sejm cesarstwa, nowowybrany w czerwcu. Półurzędowcy uspakajają, że nie zagraniczna, ale wewnętrzna polityka wymogła na cesarzu ofiarę z przyjemności, jakąby miał, oddychając powietrzem Faraonów. Ofiara była konieczną najpierw dla zwyczaju dotychczas przestrzeganego, aby każdy sejm osobiście otwierać, a potem dla dopilnowania prac prawodawczych, mianowicie zapowiedzianej w Oeynhausen, podczas manewrów hanowersko-westfalskich, noweli do prawa o koalicyi robotników.

Prześladowanie w Prusiech Zachodnich, w Poznańskiem dotarło już do żeńskich zakończeń nazwisk polskich: już nawet kobiecie polskiej nie wolno będzie mieć polskiego nazwiska. Ministeryum spraw wewnętrznych dopuszcza tylko dowód przeciwny, ale władzy administracyjnej pozwala kierować się własnem uznaniem, czy pochodzenie osoby jest dostatecznie polskiem, aby gramatyczna postać jej nazwiska polską też być mogła. Hakatyści dopomną się na sejmie cesarstwa obowiązku pisania kartek wyborczych po niemiecku, aby i tu nałożyć pęta.

W Przedlitawii po wybraniu komisyi „kwotowej“ do rozdzielenia wspólnych ciężarów Izba deputowanych Rady państwa odroczyła się i zebrać się miała dopiero we czwartek, 13 b. m. Sama komisya obradowała przez wtorek i środę z węgierską w Peszcie. P. Thun żądał od Węgrów 38%, Węgrzy dawali tylko 34 co najwyżej.

Komisya pokojowa amerykańsko hiszpańska zawiesiła swe czynności wskutek zażądania całej wyspy Luzon oraz wyrzeczenia się najwyższowładztwa nad resztą archipelagu.

Turcya przyjęła w *zasadzie* ultimatum czterech mocarstw, aby wycofała wojska i władze cywilne z Krety.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PIERWSZY KROK DO CZYNU.

Obradowano przed kilku laty w warszawskiej sekcyi rolnej nad ubezpieczeniem oficyalistów wiejskich. Sprawa musiała przybrać charakter jednostronny, ponieważ do obrad tych nie zaproszono żadnego z pracowników. *) Mó-

*) Dopiero na posiedzeniu pierwszem powakacyjnem w ubiegły poniedziałek postanowiono nareszcie zaprosić oficyalistów do narad nad ich bytem i losem.

wiono tedy o wadach oficyalistów, o braku uzdolnienia, nazywano ich większymi lub mniejszymi Mielczarkami i ostatecznie uchwalono: że sami właściciele ziemscy w znacznej części mają bardzo wątłe podstawy bytu, że ci, którzy dbają o swoich pracowników, zabezpieczą ich istnienie bez żadnej organizacyi. Trudno było na razie o lepszą farsę, odegraną w poważnej instytucyi, ogniskującej doniosłe sprawy i interesy ziemian z całego kraju.

Czego jednak nie zrobiła instytucya, przez którą najłatwiej jest przeprowadzać wszelkie sprawy i potrzeby ekonomiczno-społeczne, zaczynają robić ludzie prywatni, bez uroczystego nastroju i powodzi słów. Oto gorliwy i szczery inicyator w sprawie ubezpieczenia pracowników rolnych, właściciel dóbr Lelice, p. Józef Gościcki, zwołał w Płocku 35 obywateli ziemskich z całej gubernii i zapoznał ich z ustawą tudzież działalnością galicyjskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy oficyalistów, jako wzorem, na którym ma być oparta u nas organizacja. Hr. Adam Krasiński, ordynat z Opinogóry, zadeklarował w razie dojścia do skutku tego stowarzyszenia, 2,000 rb. P. Gościcki postawił dwa wnioski: 1) Większa własność bierze za obowiązek pomoc urzędnikom gospodarczym i pracownikom niższego etatu, do uzyskania zatwierdzenia ustawy, któraby dawała warunki zabezpieczające byt pracowników w razie nieudolności do pracy. 2) Ponieważ Towarzystwo może działać owocnie dopiero po złożeniu funduszu, którą z premij asekuracyjnych wzrastałby powrotnie, przeto przedstawiciele większej własności uznali za stosowne złożyć fundusz rezerwowy przed zatwierdzeniem ustawy, drogą opłat jednorazowych po 5 rb. od każdego oficyalisty. Według danych statystycznych, jeden powiat może złożyć 1,000 rb. Ponieważ w całym kraju jest powiatów 80, więc fundusz powinien uczynić 80,000 rb.

Ostatecznie wybrano komitet, w którego skład weszli pp.: Józef Gościcki z Lelic, adwokat Jan Ligowski ze Skórna, Bolesław Zdziarski z Ciesiel, Stanisław Chełchowski z Chojnowa i Konstanty Mikiewicz z Opinogóry. Zadaniem tego zawiązku ma być zbieranie materyałów do ustawy w dalszym ciągu, tudzież porozumienie się z warszawską sekcyą rolną. Właściciele obecni postanowili natychmiast po ostatecznem opracowaniu ustawy zebrać sumę potrzebną.

W takiej fazie są obecnie zabiegi o zabezpieczenie bytu pracowników. Jak widzimy, przybrały one postać konkretniejszą, dającą pewną rękojmię urzeczywistnienia projektu. Teraz przyjrzyjmy się w głównych zarysach ustawie Towarzystwa galicyjskiego, które już istnieje 30 lat. Jak zwykle, celem stowarzyszeń tego rodzaju jest udzielanie członkom zapomóg stałych lub jednorazowych, opieka nad wdowami i sierotami. Członkowie dzielą się na rzeczywistych, wspierających (tj. płacących stały datek roczny najmniej 5 złr., lub jednorazowy, począwszy od 100 złr.) i honorowych, do których zaliczani są ludzie zasłużeni około dobra pracowników. Uczestnikiem lub uczestniczką Towarzystwa jest osoba, za którą udziały płaci jej zarobkodawca, przyczem członek rzeczywisty może być jednocześnie uczestnikiem. Członkiem rzeczywistym Towarzystwa może być oficyalista prywatny wiejski, oficyalista instytucyj i przedsiębiorstw prywatnych, lekarz, weterynarz, inżenier i budowniczy prywatny, dzierżawca dóbr wiejskich, nauczyciel prywatny, ekspedytor pocztowy, dziennikarz zawodowy, nauczycielka prywatna, ekspedyentka pocztowa, telegrafistka, buchhalterka. Przyjęty członek, skoro ściśle spełnia obowiązki w statucie nakreślone, nie traci swych praw, choćby się nawet usunął ze służby prywatnej. Na przedstawienie służbodawcy, uczestnikiem może być także pracownik, któremu warunki nie pozwalają zostać członkiem rzeczywistym. Ten zaś winien płacić przynajmniej jeden udział roczny do kasy Towarzystwa (4 złr., płatne w ratach kwartalnych), oraz wpisowe od 1 do 4 złr., stosownie do wieku członka. Wolno też każdemu członkowi płacić więcej, niż jeden udział, co następnie wpływa na wysokość zapomogi. Ilość udziałów płaconych wolno każdego roku zwiększać lub zmniejszać. Za uczestnika płaci jego zarobkodawca przynajmniej jeden udział rocznie. Uczestnik ma prawo tylko do stałej zapomogi, nie otrzymuje zaś wsparcia z funduszu pogrzebowego, ani zapomogi doraźnej.

Organami Towarzystwa są ogólne zgromadzenia powiatowe, rada nadzorcza, wydział centralny (we Lwowie) i wydziały powiatowe. Te ostatnie wybierane są w powiatach, w których znajduje się przynajmniej 15 członków rzeczywistych. W każdym wydziale powiatowym przynajmniej raz do roku odbywa się zgromadzenie ogólne. Wydział centralny jest władzą zwierzchniczą nad powiatowymi. Każdy członek rzeczywisty, który przynajmniej przez 5 lat z rzędu należał do Towarzystwa i przez ten czas składki opłacał, lub uczestnik, za którego zarobkodawca dopełnił zobowiązania, a który stał się niezdolny do pracy, otrzymuje stałą zapomogę w stosunku do ilości udziałów wypłaconych i do liczby lat. Również zapomogę otrzymuje wdowa po członku rzeczywistym, który należał do Towarzystwa przynajmniej przez pięć lat i przed śmiercią nie wystąpił z niego, jeżeli co najmniej trzy lata z mężem żyła. Wdowa po jednym roku pożycia i mająca potomstwo z tego małżeństwa, otrzymuje zapomogę stałą; wdowa zaś bezdzietna poniżej 3 lat pożycia małżeńskiego, otrzymuje wsparcie jednorazowe. To samo dotyczy wdów po uczestnikach. Dzieci płci obojej po członkach, którzy przez pięć lat opłacali składki, otrzymują zapomogę czasową do ukończenia 18 lat życia. Chłopcy mogą otrzymywać zasiłek do lat 20, jeżeli są dobrymi uczniami w szkołach. Dla dziewcząt zapomoga ustaje już przed 18

CICHO WKOŁO.

Cicho wkoło, jakże cicho! Dęby, roztoczywszy korony, stoją nieruchome, jak wojownik osłonięty puklerzem i wyczekujący natarcia przeciwnika. Jesiony, okryte wspaniałymi pękami liści, grzeją się na słońcu. Kilka sosen zbiło się śród młodych krzewów w ciemnozieloną wyspę i ani jedna ich gałąź nie waha się, ani jeden wierzchołek nie chyli się. Nawet brzozy rosłe i piękne, ruchliwe jak młoda dziewczynka, gdy jej nikt nie podgląda, teraz są bardzo poważne i chcą uchodzić za matrony.

Cicho w około. Słyszę szemranie potoku a nad nim kwiaty kwitną, dwa rodzaje jaskrów, jeden duży i złoty, jak gwiazda, pączek przy pączku okrywa łodygę, drugi malutki nieśmiały, z główką schowaną w trawie. Bujna, wonna macierzanka, niezapominajki opasują brzeg, jak błękitna wstążeczka. Ze stoków góry biegną ku niemu jeżyny: cisną się i wypierają nawzajem, wyciągają ramiena okwiecone biało lub różowo; inne kładą kolczaste gałązki na ziemię i wydłużają je, aby bliżej przypełznąć ku wodzie. Z nich podnoszą się czasem popielatozielone wiechy bylic albo jasna, strzelista stokłosa.

A ja leżę w cieniu drzewa na zeschłych liściach dębowych, około mnie szypułki i wiele podłużnych, brunatnożółtych żołędzi. Jedwabista trawa zarosła gęsto ziemię, ręka ślizga się po niej, jak po atłasie. Niebo bez chmur. W sąsiedztwie piją światło krzaczki różowych leśnych naparstnic, odwiedza je co chwila pszczółka brzęcząca lub muszka. A teraz czy na nie przyleciał popatrzeć młody dzięciołek?Ześliznął się po drugiej stronie pnia i wychylił ciekawie czarną główkę. Dzień dobry ci, dzień dobry, droga ptaszyno.

Zasnąłem w tem słońcu, w milczeniu lasu, kwiatów i ptaków. Naraz zdało mi się, że słyszę jakieś stąpanie, że ktoś zbliża się do mnie. Otworzyłem oczy.

Młoda, wysmukła kobieta stała przy mnie. Blada, o czole wysokiem, w czarnych szatach. Jej włos opasywał wieniec ciemnych malw, jedną ręką objęła bliskie drzewo, w drugiej trzymała łodygę dzwonka z ciemnofioletowym, kwiatem.

Podniosłem się zlekka i spytałem.

— Kto ty?

Lecz ona milczała.

Więc głośniej powtórzyłem pytanie i znowu nie było odpowiedzi. Zagadnąłem po raz trzeci. Wtedy zdało mi się, że zlekka szepnęła drobnemi ustami: Twoja myśl.

A więc to była moja myśl? Ta wieczna burzycielka moich wytchnień, wieczysta ranicielka blizn. Moja myśl niespokojna, jak listek topoli na wietrze, rwąca się w dal, niby przepiórka jesienią i tęskna, jak ryk jelenia, kiedy osaczy go psiarnia a łowiec podsuwa się, żeby go zabić? Ona, co nieraz w samotności śpiewa mi cicho, jak świerszczek w murze, miła z początku, a potem umysł nuży. Ta, która jak ostry puginał przeszywa srebrzyste pancerze pozorów i odkrywa pod nimi wrzody, która u brzegu jasnych potoczków widzi pleśń zieloną, która w opoki twarde i w żwir piaszczysty wwierca się, jak świder, moja myśl?

Nie chciała mię zostawić samego z mchami leśnymi i z czyżykiem śpiącym w gałązkach. A tak było spokojnie bez niej... lecz nie. Szła cicho za mną, kryła się za pnie drzewne, utrzymywała wciąż należytą odległość, aż ku śpiącemu podkradła się. Wysmukła, piękna kobieta, z wieńcem ciemnych malw, czarno ubrana.

I gniew zawrzał w mem sercu, że sen mi przerwała i patrzyłem wciąż na nią wpół podniesiony. A ona stała dalej przy drzewie z dzwonkami ciemnymi w dłoni.

I rzekłem:

rokiem życia, z chwilą zamążpójścia. Członek rzeczywisty lub uczestnik, pobierający zapomogę, traci prawo do niej i powraca do warunków i obowiązków członka rzeczywistego lub uczestnika, jeżeli ustała niezdolność do pracy. Uczestnik, opuszczający służbę u swego zarobkodawcy, traci prawa w Towarzystwie; zarobkodawcy zaś wolno użyć na rzecz następcy połowy kwoty opłacanej na udział; reszta przechodzi na rzecz Towarzystwa. To samo stosuje się w razie śmierci uczestnika, który nie pozostawia wdowy, ani dzieci. W razie śmierci służbodawcy, jeśli jego prawni spadkobiercy zatrzymują w służbie uczestnika, nabyte przez niego prawa w Towarzystwie pozostają w swej mocy. Kobiety-członkowie i uczestnicy przez wejście w związek małżeński tracą prawa nabyte w Towarzystwie; natomiast otrzymują tytułem odprawy kwotę, uchwaloną przez radę nadzorczą.

W miarę funduszu dyspozycyjnego, co rok wyznaczane są zapomogi w stosunku do udziałów i do liczby lat. Z zapomogi doraźnej korzysta członek rzeczywisty, gdy jest pozbawiony podstaw bytu z powodu choroby własnej lub rodziny przez utratę posady z okoliczności od niego niezależnych itd. Do zapomogi doraźnej mają także prawo wdowa i dzieci członka. Członek rzeczywisty, wstępujący do wojska, nie traci swych praw; pozostają one tylko w zawieszeniu przez czas służby wojskowej. Może potem opłacić raty zaległe z 6%. Wykluczenie z Towarzystwa jest przewidziane: za skazanie przez sądy, za czyn hańbiący, za pijaństwo nałogowe, życie niemoralne, nierzetelność itd.

Taki jest ogólny zarys ustawy, która z małemi zmianami dałaby się i u nas zastosować. Przypuszczamy, że praca komitetu, obecnie zawiązanego w tej sprawie, będzie właśnie miała na celu dokładne zbadanie warunków pracy naszych oficyalistów wiejskich i odpowiednio do tego zmianę tudzież rozszerzenie ustawy galicyjskiej. Badanie warunków pracy zapewne wykryje tu i owdzie stosunki smutne, fatalne, o których zmianie należałoby pomyśleć. Sądzimy, iż jednocześnie z opracowaniem ustawy stowarzyszenia i zastosowaniem jej w życiu, należałoby także pomyśleć o jakiejś organizacyi, pośredniczącej w wyszukiwaniu pracy, o rekomendacyi nietylko oficyalistów, lecz także i zarobkodawców. Warunek ten zapewne oburzy niejednego z interesowanych. Sprawiedliwość jednak i jaskrawe przykłady z życia nakazują go uwzględnić. Zarobkodawcy żądają kwalifikacyj moralnych od pracowników, a w zamian nie dają nic, coby zapewniało rękojmię dobrego traktowania. Znamy liczne fakty poniewierania najzdolniejszymi i najuczciwszymi ludźmi, nierzetelnego obchodzenia się z nimi, zatrzymania zapłaty bez żadnych przyczyn lub płacenia za pomocą losowania. Są dwory, na szczęście dość rzadkie, gdzie służba po lat kilka nie widzi grosza. Zaufawszy swym zarobkodawcom, żądającym rekomendacyi, nie zrobiła z nimi umowy i następnie po latach kilku pracy wygnana bez grosza, znalazła się w nędzy ostatecznej. Oczywiście, takich zarobkodawców powinni piętnować uczciwi właściciele ziemscy, do których na szczęście należy znaczna większość. Ale to nie wystarczy i pokrzywdzonym da tylko zadowolenie moralne, lecz z nędzy nie wyrwie. Otóż w ustawie przyszłego stowarzyszenia należałoby wprowadzić jeden paragraf, pewnego rodzaju asekuracyę: Jeżeli stanie się wiadomem, że zarobkodawca skrzywdził pracownika, natenczas Towarzystwo powinno wynagrodzić go w odpowiednim stosunku, a straty ściągnąć z nierzetelnego służbodawcy. Taki paragraf krępowałby do pewnego stopnia ludzi nierzetelnych lub lekkomyślnych i zmusiłby ich do szanowania zobowiązań i ludzi. Tem bardziej warunek powyższy należy wziąć pod rozwagę, że już zrobiono pierwszy krok ku urzeczywistnieniu zamiarów i projektów.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Ciągle stan wyjątkowy. — Przepełnienie zakładów naukowych. — Szkoła czernichowska. — Otwarcie szkoły w Białej. — Tow. Szkoły ludowej.

Przejęci powagą stanu wyjątkowego, który trwa ciągle,*) przycichliśmy tak bezwględnie we wszystkich objawach życia, że nietylko nic nie robimy, ale nawet nic nam się nie śni.

Nasi też ojcowie miasta nie zbierają się od kilku miesięcy na posiedzenia rady, uważając widocznie każdą formę samorządu za rzecz niebezpieczną, a wszelkie zebrania za wykroczenie przeciw ustawom wyjątkowym.

Podobno z oburzeniem przyjęli wiadomość, że Lwów ujął się za nimi i cieszyli się bardzo, że dostał za to odprawę, na jaką zasłużył ze strony pana namiestnika. Jest więc nadzieja, że długo jeszcze chronić będą naszej drzemki szerokie skrzydła wyjątkowości. Była chwila przerażającej trwogi, kiedy rząd nie złożył na pierwszej sesyi parlamentu zawiadomienia o stanie wyjątkowym, uważano to nawet za niemiecką intrygę, obliczoną na to, żeby nas zgubić. Uratowali nas jednak przedstawiciele nasi w parlamencie. Krzyknęli wielkim głosem, że namiestnik dał stan wyjątkowy, jak Pan Bóg życie człowiekowi i on tylko jeden ma prawo go odebrać. Będziemy więc spać dalej spokojnie— choćby pięć lat, tj. do czasu, kiedy trzeba będzie znowu wybierać hamulce do Koła polskiego.

Ale ponieważ naród, jak człowiek, nigdy nie może być całkiem szczęśliwy, dolega i nam wielkie zmartwienie. Oburzamy na „nadprodukcyę inteligencyi.“ Jest to bardzo nieładnie, szanowny czytelniku, uśmiechać się niedowierzająco. Powiadają wprawdzie, że mamy tysiąc gmin bez szkół, powiadają, że mamy kilkaset szkół bez nauczycieli, ale to niczego nie dowodzi. My musimy przedewszystkiem obmyśleć środki na powstrzymanie napływu tej hołoty wszelkiego rodzaju, która zalewa wszystkie szkoły istniejące.

Gimnazya w Krakowie są tak przepełnione, że po cztery równoległe klasy musiano otworzyć i jeszcze masę uczniów

*) Przed kilku dniami został zniesiony. *Red.*

— Czy nie widzisz, jaki dzień piękny, jak promyki słońca przemykają się między listkami, wiszą z gałązek niby złote włosy? Czy nie widzisz, jak małe, modre motylki igrają całą gromadką; słyszysz muszki brzęczące, pasikoniki, które poczęły strzydz? Jętka płynie w powietrzu i jej barwy mienią się z szafiru w szmaragdy i ametysty. I w taki czas ty wdziewasz czarne suknie? Po co ta ciemność, na co ta żałoba? Owoce poziomek świecą jak granaty, listki malin jasne jak beryle. Z nich bierz wzór. Czemu nie ubierasz się błękitnie, jak niebo, jak kwiat głogu? Czy zawsze będziesz stroić się czarno?

Ale ona stała milcząc w cieniu drzewa i nie dawała odpowiedzi.

Obruszyłem się jeszcze bardziej i mówiłem gwałtownie:

— Czemu idziesz krok w krok za mną, jak cień za wędrowcem? Czemu wiecznie nalatujesz mą duszę, jak kwiczoł krzak jałowcowy? Tuczą cię jej jagody? Węgorz nocą wychodzi na pastwisko i gryzie korzonki ziół, gdy nikt się nie domyśla. Tak i ty. Nieraz prawie powien jestem spokoju, nie mam troski, naraz ciebie dostrzegam...

Gorzej jeszcze. Gdy śpię, ty bierzesz mię za ręce i wiedziesz niby w pole na przechadzkę, na niwę wspomnień, na zagony dni dawnych. I ledwo ci zaufam i wejdę w kłos, aż zboże niknie, ścieżka zaciera się i ja sam, o bosych stopach, znajduję się na szerokiem ściernisku. Ściernie, ściernie i ściernie; kolę sobie nogi, ranię palce, krew kapie na ziemię, a ja muszę iść.

Ty mię tak wiedziesz. Dlaczego, za co? Odejdź lepiej ode mnie i zostaw mię w spokoju. Wolę żyć w jednem miejscu, w jednej chwili, bez lotów w czas i przestrzeń. Niechbym jak wierzba okrył się żółtawym porostem, jak stary grosz zakopany w ziemi odział się śniedzią, byle żyć obojętnie, jak one, czekać aż zmurszeję i przejdę w pył. Odejdź, odejdź ode mnie.

I wejrzałem na nią, chciwy słów jej. Ale ona stała, jak dawniej, tylko kwiat się jej opuścił z ręki na ziemię i w oczach jakby rosa łezki zabłysły.

Zrobiło mi się żal tej twarzy smutnej. Zmiękłem i zacząłem prosić:

— Wybacz, że szorstko wyraziłem ci swe życzenie. Lubię cię i nie mogę zaprzeczyć, że nieraz dałaś mi wiele przyjemności. Ale ja taki zmęczony. Tak często chciałbym patrząc na niwy rozkwitłe, zapomnieć, że są ludzie, którzy nigdy wiosny nie mogą widzieć. Tak często idąc mimo pałaców z marmuru, chciałbym podziwiać tylko ich frontony, nie wiedząc, że mają i podziemia... Nie chciałbym w dźwiękach muzyki słyszeć płaczu sierocego, w pochodach tryumfalnych widzieć ciał zdeptanych. Byle wstęgi tylko miały, byle z okien spadały róże wonne, a zwycięzkie znaki bujały w powietrzu, jak orle skrzydła.

I nie wiedź ty mię ku ławnicom. Cały żywot znojny staje przede mną i sierp śmierci krwią ociekły. Nie pokazuj mi wielkich grobowców, gdyż z nich cienie chciałbym wywołać. Gość u mnie, ale tylko zrzadka kalecz mą duszę, bo tak źle iść nawet po najgładszej drodze, gdy z ran krew się sączy.

Użycz mi więcej wczasu i weselszy włóż strój, chociaż chwilami.

Podniosłem oczy. Stała w tej samej sukni, ale zdało mi się, że malwy, opasujące czoło, nabrały nieco jasności. A może to tylko od słońca?

Włodzimierz Bugiel.



odeszło z kwitkiem. Szkoła realna ma 800 uczniów, Przemysłowa musiała odrzucić kilkudziesięciu kandydatów, a seminaryum nauczycielskie, które ma na celu właśnie zaradzić w jak najkrótszym czasie brakowi nauczycieli, nie przyjmuje przeszło stu kandydatek, posiadających wymagane kwalifikacye, dla braku miejsca.

Stowarzyszenie nauczycielek zakłada wprawdzie seminaryum prywatne, pracują rozmaite stowarzyszenia nad tem, żeby zaspokoić tę żądzę wiedzy, która przepływa przez wszystkie warstwy społeczne, ale to wszystko na nic się nie przyda, dopóki rząd krajowy nie zwróci wszystkich sił swoich w tym kierunku, dopóki podniesienia oświaty i cywilizacyi nie postawi sobie za cel wyższy po nad wszystkie inne zadania i cele.

Kraj tymczasem, a raczej reprezentacya jego silą się na wynalezienie coraz genialniejszych środków dla powstrzymania tej fali. Niekiedy udaje jej się to znakomicie. Przypominam czytelnikom głośną sprawę czerniechowską. Wszyscy zgadzali się na to, że zakład ten wymaga radykalnej reformy, że powtarzające się tam co pewien czas bunty i awantury dowodzą wadliwego ustroju. Mówiło i pisało się dużo o zmianach, ulepszeniach itd. Skończyło się na tem, że szkołę... obwiedziono wysokim murem, a w oknach wprawiono kraty. Rezultat okazał się zdumiewającym. Na pierwszy kurs zapisało się aż *pięciu* uczniów. W roku zeszłym było ich trzydziestu siedmiu. Cały zakład liczy dwudziestu trzech! — a ponieważ grono nauczycielskie składa się z dwunastu profesorów, można zrozumieć, że utrzymanie ładu i karności jest teraz bardzo ułatwione. Wydział krajowy wydaje na tę szkołę kilkanaście tysięcy guldenów — i niechże tu kto powie, że Galicya nie łoży hojnie na cele oświaty!

W Białej otwarto pierwszą szkołę z językiem wykładowym polskim. Jak dalece ona była potrzebną, dowodzi fakt, że zaraz na wstępie zgłosiło się do niej blizko 400 dzieci, tak że musiano otworzyć wykłady równoległe.

Dnia 15 października odbędzie się uroczyste poświęcenie tej szkoły, która bronić będzie od germanizacyi osiadłe na kresach rodziny. Jest to zasługą społeczeństwa naszego, które złożyło, bądź co bądź, pokaźną sumę około 60,000 złr. na budowę, a teraz będzie musiało utrzymywać ją swoim kosztem, póki nie przejdzie na etat krajowy.

Towarzystwo Szkoły ludowej, którego staraniem i inicyatywą ona powstała, coraz energiczniej rozwija działalność, aby szerzyć oświatę wśród jak najniższych warstw i wszelkimi możliwymi środkami. Obecnie zawiązują się podobno komitety, które mają na cały kraj rozwinąć pracę cywilizacyjną przez zakładanie szkół dla analfabetów, czytelni i wypożyczalni bezpłatnych — oraz zorganizowanie popularnych wykładów naukowych. Jest dużo dobrej woli w tem wszystkiem. Gdybyśmy nie byli tak biedni, jakimi jesteśmy, to może potrafilibyśmy sobie lepiej poradzić z różnemi zawikłaniami społecznemi, niż pan namiestnik ze stanem wyjątkowym i niż p. Tarnowski.

Caeca.

Z NIEMIEC.

Berlin, 8 października.

Kongres przyrodniczo-lekarski. — Krytyka wyższych zakładów naukowych. — Dzisiejsza szkoła. — Zwyradnianie się ludzkości. — Suchoty wobec nauki i życia.

Cały niemal tydzień obradował w Dusseldorfie kongres niemieckich lekarzy i przyrodników. Doprawdy trudno uwierzyć, iż zjazd pierwszorzędnych powag naukowych lwią część swych rozpraw poświęca zagadnieniom życia praktycznego. Nie kłócono się o szczegóły przyrodniczo-medyczne, które grzeją lub chłodzą specyalistów, nie zamykano się w skorupie kastowości naukowej, lecz z gorliwością godną naśladowania roztrząsano — jeśli pominiemy garstkę spraw specyalnych — trzy kwestye nader doniosłe ze stanowiska społecznego. Przedewszystkiem wytknięto uniwersytetom ich przestarzałe urządzenia i traktowanie z góry postępków technologii. Powtóre skarcono ostro barbarzyński system pedagogiczny współczesnej szkoły i wreszcie poruszono myśl inicyatywy państwowej w celu położenia tamy szerzącej się w sferach pracujących epidemii suchotniczej.

Przeciwko chińszczyźnie uniwersytetów wystąpił matematyk prof. Klein z Getyngi. Chwalił on ich pietyzm dla nauki czystej, oderwanej i wyższej podobno nad zagadnienia życia praktycznego. Pod tym względem politechniki, pozbawione zmysłu dla nauk t. zw. niechlebodajnych, powinny brać przykład ze swych starszych sióstr. Lecz z drugiej strony lekceważenie spraw rzeczywistego życia prowadzi naukę na bezdroża metafizyki i abstrakcyi. Przedewszystkiem sama matematyka rozszerzy swe widnokręgi, gdy zetknie się bliżej z mechaniką, technologią i fizyką. Uniwersytet getyngski w myśl tej zasady zaprowadził pierwszy u siebie wykłady, zaznajamiające słuchaczów z cudownymi postępami technologii nowoczesnej. Inne uniwersytety, o ile chcą odmłodnieć, powinny pójść w te ślady. Oprócz tego projektował prelegent urządzenie wydziałów technicznych przy uniwersytetach. W ten sposób nastąpi zbliżenie pomiędzy wszechnicami a politechnikami. Dziwna rzecz, iż wogóle te dwa rodzaje wyższych zakładów naukowych zupełnie się z sobą nie kombinują i nie wymieniają ani poglądów, ani sił naukowych. Prof. Klein przyznał, iż uniwersytety wprowadziły w ostatnich czasach dwie zmiany, które należałoby przenieść i do politechnik. Obok suchego wykładu, wygłaszanego z katedry, praktykuje się coraz więcej Sokratesowski, prowadzony za pomocą dyalogu i ustnego porozumiewania się. Tą drogą powstały t. zw. seminarya na wszystkich wydziałach. Filologia, filozofia, prawo i nauki społeczne nader skutecznie posługują się tą metodą. Praca seminaryjna, obowiązująca zwykle wybranych, dziś wchodzi w zwyczaj jako powszechna metoda nauczania. Większe jeszcze uznanie zaskarbiła sobie druga instytucya uniwersytecka, t. zw. kursy wakacyjne, przeznaczone dla lekarzy i nauczycieli. Są one znane i naszym lekarzom, a często przez nich odwiedzane. Mają na celu zaznajomić ze zdobyczami wiedzy specyalnej tych, co kroczą już w deptaku praktyki i zerwali stosunki z nauką uniwersytecką. Te dwie reformy polecił prof. Klein politechnikom.

Większe znaczenie praktyczne od tej krytyki posiada protest zjazdu przeciwko niehygienicznemu systemowi zakładów średnich. W Niemczech każde dziecko, które skończyło 6 lat, musi wstąpić do szkoły. Wiek ten, zdaniem referentów, nie nadaje się jeszcze do chomąta obowiązków. Wogóle powinna komisya szkolna poddać rewizyi nowowstępujących, odsyłając słabszych do domu. Dzieci wątłe pod wpływem tresury tracą z roku na rok względnie na wadze. Nerwowość rośnie z każdą klasą. Wyższe liczą niekiedy 61% nerwowców i 20% cierpiących na bezsenność. Jedenastogodzinny „dzień roboczy“ gimnazyastów jest barbarzyństwem, wołającem o pomstę do nieba. Czas, przeznaczony dla snu, należy stanowczo przedłużyć: 7-letnie dzieci powinny spać 12 godzin, 14-letnie — 11, a 18-letnie — 9. Egzamina, pomijając ich niedorzeczność, w wielu wypadkach wyczerpują niepotrzebnie organizm dziecka. Najbardziej zaś obciąża uczniów balast estetyczno-retoryczny klasycyzmu. Czas już zwalić ten ciężar czemprędzej z bark dziecięcych. Przynajmniej greczyznę trzeba złożyć na ołtarzu zdrowia podrastających pokoleń. Wyjdzie to zresztą na dobre i samym pedagogom, których większość cierpi na chroniczność nerwową i choroby oczu. Ogół nauczycieli gimnazyalnych umiera przed 50 rokiem życia. Nie dziwilibyśmy się, gdyby któryś z uczestników zjazdu udowodnił, iż ludność europejska wyradza się pod wpływem okrutnego systemu pedagogicznego. Dr. Kruse wszakże wykazał, że ludzkość nie wyradnieje. Szkielety, mumie, zbroje i ubiory starożytnych oraz średniowiecza nie uprawniają nas do żadnych wniosków. Prace rzymskich pisarzy zawierają pocieszające dla nas dane. Jeśli wziąć za pole obserwacyi stulecie bieżące, to rezultaty poborów wojskowych stanowczo przeczą narzekaniom ludzi, opłakującym fizyczny upadek ludzkości. Nawet Francya pod tym względem nie pozostawia wiele do życzenia, a co dziwniejsza, Paryż przedstawia się tu bardzo dodatnio. Albowiem odsetka niezdatnych do służby, jak należałoby się spodziewać, bynajmniej nie maleje. Z pewnością zaś mylą się ci, co kładą występujący tu i owdzie niedobór na karb miast. Zwłaszcza zaś agraryusze i pisarze wrogo usposobieni dla przemysłu, lubują się w podobnych wywodach i dalej idących Kasandrowych przepowiedniach. Przeciwnie rzec można, iż właśnie miejscowości chroniczne niedomagające na niedobór wojskowy odznaczają się charakterem rolnym *).

Ostatni ważny punkt porządku dziennego stanowiła kwestya panoszącej się w miastach gruźlicy. Dokonano liczne spostrzeżenia ośmielają do wniosku, iż suchoty nie należą do rzędu chorób nieuleczalnych, zwłaszcza jeśli przedsięwziąć energiczne środki w okresie początkowym. Wobec tego, iż ludność robotnicza zgłasza się do lekarza tylko w razie ostatecznym, tj. wtedy, kiedy niema widoków wyzdrowienia, państwo powinno założyć specyalne lecznice dla chorych na płuca. W Niemczech utworzyła się już komisya w tym celu. Kilku sprawozdawców zwróciło uwagę kongresu na szkodliwy wpływ przygnębienia w tych chorobach. Często troska, trapiąca pacyentów, którzy pozostawili rodzinę bez środków utrzymania, udaremnia lub paraliżuje kuracyę. Koniecznem przeto jest zaopiekować się taką rodziną. Zadanie to można będzie powierzyć kasom dla chorych, których Niemcy liczą dziś na tysiące. Przeważnie choroba ta dziesiątkuje warstwy robotnicze, gdyż są zawody, gdzie 50% najmitów pada ofiarą gruźlicy.

Ze sprawozdań treści ogólno-naukowej obudził zainteresowanie odczyt prof. Martiusa z Rostoku. Uczony ten zaznaczył, ile teoretyczno-poznawczych błędów popełnia dyagnostyka od czasów Virchowa. Teorye patologiczne, oczyszczone od niekonsekwencyj, muszą doprowadzić w pojmowaniu kategoryj „istota“ i „przyczyna“ do tych samych wniosków, co inne nauki. Zawody, doznane przez bakteryologię współczesną, wysunęły na pierwszy plan znaczenie zarodków i usposobień. Zadaniem nauki jest właśnie walczyć z zarodkami chorób, zamiastześrodkowywać całą uwagę na ich przyczynach.

*) Jakże cały ten wywód pogodzić z piorunami na osłabianie sił fizycznych w szkole? *Red.*

H. F.

POLACY PRUSCY W ŚWIETLE CYFR.

Nasza publicystyka, mówiąc o sprawach polskich w Prusiech, tradycyjnie uderza w ton pesymizmu. Rzecz to całkiem zrozumiała. Pisma warszewskie odbijają echa opinii publicznej Poznańskiego, będącej wyrazem interesów tej klasy, która i dziś jeszcze odgrywa tam rolę przewodniczącą. Bankrutująca ekonomicznie szlachta poznańska czuje, że jej z pod nóg grunt coraz bardziej się usuwa, więc skłonna jest widzieć we własnym upadku — upadek całego narodu, w bankructwie swej polityki klasowej — bankructwo całego społeczeństwa polskiego. Jej całkiem naturalny i zrozumiały pesymizm bierzemy zupełnie niekrytycznie za odbicie istotnego stanu rzeczy i nie możemy opanować uczucia rozpaczy, mówiąc o stosunkach polskich w Prusiech. Nawet ci, dla których upadek i znikanie wielkich dóbr ziemskich nie jest czemś równoznacznem z zagładą narodowości polskiej, dają się unosić ogólnemu prądowi i mało uwagi zwracają na objawy, dowodzące, że po za procesem ekonomicznego i politycznego zwyrodnienia w wyższych, odbywają się inne procesy w niższych warstwach społeczeństwa, procesy, które wcale nie powinny nastręczać zwątpień. Słyszymy, co prawda, o budzeniu się Szlązka, Warmii i Mazurów, notujemy objawy ciągle wzrastającej świadomości ludu polskiego, ale wszystkie informacye nasze w tym kierunku są dotychczas bardzo doryweze, nieściśle i nieoparte na poważniejszych studyach statystycznych. Posiadają one jakiś gazeciarsko - polityczny charakter. To też wszelki przyczynek do gruntownego poznania tych zjawisk musi być przez nas powitany z wdzięcznością, bez względu na źródło, z którego pochodzi.

Mamy właśnie pod ręką bardzo ciekawą monografię, dotyczącą stosunków polskich w Prusiech. Znany uczony statystyk niemiecki, Artur Dix, autor słynnego dzieła „Sozial-Moral," zamieścił w *Jahrbücher fur Nationalökonomie und Statistik* *) pracę p. t. „Słowiańszczyzna w Prusiech — jej znaczenie dla ruchu ludnościowego i ekonomii społecznej w ciągu ostatnich dziesiątków lat." Autor traktuje rzecz przedmiotowo, bardzo ostrożnie potrącając o politykę, a jest o tyle bezstronnym, że otwarcie stwierdza tendencyjność statystyki pruskiej. Tem cenniejsze są jego wywody, które możemy zresztą sprawdzić według licznych, dołączonych przez niego tablic.

Dix mówi, co prawda, o „Słowiańszczyznie" w Prusiech, ale rzeczywiście kwestya „słowiańska" w Niemczech sprowadza się do kwestyi polskiej, gdyż wyodrębniani przez statystykę pruską Mazurzy i Kaszubi są Polakami, a liczba Czechów (razem z Morawianami i Łużyczanami) jest tak drobna, że na szali obliczeń prawie nie zaważy. Dix i Litwinów zalicza do Słowian, co też nie ma wielkiego dla nas znaczenia.

Otóż sądzi on, że kwestya polska w Prusiech posiada dwie strony, jak polonizm posiada dwa ogniska. Pierwszem są staropolskie prowincye wschodnich kresów Niemiec (Poznańskie, Prusy i Szlązk), drugiem — kolonie polskie w zachodnich okręgach przemysłowych. Pierwsze ma bardziej narodowe znaczenie, wówczas kiedy drugie przeważnie ekonomiczne.

Według spisu ludności z r. 1861, na siedmiu Niemców w Prusiech przypadał jeden Polak. Ludność polska skupiała się wyłącznie na kresach wschodnich: w Poznańskiem, Prusiech Zachodnich i Wschodnich i na Szlązku. Na zachodzie Polaków (według danych statystycznych pruskich) nie było prawie wcale. W Berlinie nie znaleziono ani jednego (?), w Saksonii — 1, w prowincyach Nadreńskich 16, w Westfalii żadnego. Znamiennem jest również i to, że w r. 1861 nawet tam, gdzie ludność polska mieszkała w masach, większe miasta były całkiem niemieckie. Tak np. Gdańsk liczył 24 Polaków, Bydgoszcz — 114, Wrocław — 72 i tylko Poznań wykazywał 14,066.

Zwróćmy teraz uwagę na ówczesne dane statystyczne, dotyczące liczby urodzeń. Z przytoczonych przez Dixa tablic widać, że najwyższe cyfry urodzeń wykazują prowincye z ludnością polską i w miarę tego, jak procent jej zmniejsza się — zmniejsza się też i procent urodzeń. Wobec braków statystyki pruskiej, ciekawe są dane z lat 1864—67, uwzględniające narodowość ludności. Otóż według tych danych procent obcych narodowości Niemiec (Litwinów, Czechów, Łużyczan, Walonów i Duńczyków) zmniejszył się, natomiast procent Polaków zwiększył. Nawet stosunkowo większy procent dzieci umierających wśród ludności polskiej nie wywarł doniośléjszego wpływu: Polacy mnożą się szybciej od innych mieszkańców Niemiec wszelkich narodowości.

W r. 1875, według Boeckha *), w Berlinie spotykamy już 38,850 osób, pochodzących z polskich prowincyj Niemiec, Austryi i Rosyi. Ma się rozumieć, że w tej liczbie znaczną część stanowią i Niemcy, ale przeważnie Polacy. Spostrzegamy więc już w pełnym rozwoju proces nasiąkania czysto niemieckich prowincyj żywiołem polskim. Rezultaty tego procesu występują jaskrawo w r. 1870. Statystyka z tego roku podaje liczbę osób urodzonych w Poznaniu, Prusiech Zachodnich i na Szlązku, a przebywających po za krajem rodzinnym. Widzimy z niej, że Berlin liczy takich 164,639, Poczdam (okręg) 42,744, Magdeburg 15,101, Westfalia 19,835 itd. Po kilka i kilkanaście tysięcy wykazują: Merseburg, Hanower, prowincye Nadreńskie, Hesya itd. Niedokładność statystyki pruskiej nie pozwala określić, ile w tem Niemców (i Żydów), a ile Polaków, ale gdyby nawet przypuścić, że emigranci z prowincyj polskich należeli w przeważnej części do Niemców (lub Żydów), to i wówczas jeszcze liczba Polaków w prowincyach rdzennie niemieckich byłaby bardzo wielką. Znamiennym jest fakt, że Poznańskie, Prusy Zachodnie i Szlązk wskutek tak olbrzymiej emigracyi Niemców (lub Żydów), *stają się coraz bardziej polskiemi.*

To nasiąkanie żywiołem polskim prowincyj rdzennie niemieckich trwa w dalszym ciągu. Zwiększa się też coraz bardziej przypływ Polaków z Austryi i Rosyi. W r. 1875 Niemcy liczyły już 98,118 osób, pochodzących z Rosyi i Austryi, w tej liczbie naturalnie dużo i Polaków.

Statystyka z r. 1890 daje nam dużo materyału do ocenienia przypływu polskiego. Charakterystycznem zjawiskiem jest ogromny wzrost miast przemysłowych, takich nawet, które np. w r. 1861 całkiem jeszcze nie istniały. Do tego wzrostu przyczynił się w pewnej, a niekiedy i w bardzo znacznej mierze, przypływ robotników polskich. Niestety, statystyka pruska, pomijając rubrykę narodowości, nie pozwala nam go ściśle oznaczyć i Dix chwyta się różnych kombinacyj, ażeby go określić. Bierze więc np. statystykę szkolnictwa, w której istnieją rubryki językowe; wymieniona jest liczba dzieci uczęszczających do szkół, władających tylko językiem niemieckim, tylko polskim, niemieckim i polskim itd. W 116 okręgach liczba dzieci polskich jest większa, niż niemieckich, w 23-ch dziesięć razy większa. W 18 okręgach zachodnio-niemieckich było dzieci polskich więcej, niż po 50, a w Westfalii liczba dzieci polskich doszła do 1% bez mała.

Wogóle na 4,268,909 dzieci niemieckich było 616,780 polskich lub też polsko-niemieckich *). W okręgach wiejskich stosunek ten przedstawiał się tak, że na 2,734,666 dzieci niemieckich było 540,341 polskich, czyli 20%. Na podstawie tych cyfr przyjmuje Dix za pewnik, że w całem państwie niemieckiem Polacy stanowią około 20% proletaryatu wiejskiego i miejskiego, oraz skłonnym jest do przypuszczenia, że *obecnie* ten stosunek jest jeszcze korzystniejszym dla żywiołu polskiego.

Zestawiając w trzech tablicach szczegołowe dane (z r. 1890), dotyczące rozsiedlenia ludności niemieckiej w poszczególnych okręgach państwa, zaznacza, że urzędowa statystyka pruska tendencyjnie zmniejsza liczbę ludności polskiej. Pomimo to jednak już w r. 1890 na zachodzie Niemiec urzędownie stwierdzono obecność 100,000 *mężczyzn*-Polaków (wraz z nieznaczną liczbą Czechów, Litwinów i Łużyczan). To masowe przesiedlanie się Polaków ze wschodu na zachód da się porównać chyba tylko z takim samym ruchem Żydów. Różnica polega tylko na tem, że kiedy liczba Polaków w Poznańskiem, Prusiech Zachodnich i na Szlązku ustawicznie wzrasta pomimo emigracyi, to ludność żydowska (uznająca się w olbrzymiej większości wypadków za niemiecką) w prowincyach polskich topnieje. Według A. Wencksterna r. 1849 w Prusiech było 219,000 Żydów, z których w Poznańskiem mieszkało 80,000, w Berlinie zaś 9,500. Tymczasem w roku 1895 na 295,000 Żydów Poznańskie liczyło tylko 49,000, a Berlin 36,000.

Ponieważ Polacy przesiedlający się na zachód niemiecki są niemal wyłącznie robotnikami, a więc ludźmi pomiędzy 18 a 40 rokiem życia, przeto muszą oni odgrywać tam daleko ważniejszą ekonomiczną i polityczną rolę, aniżeli możnaby było wnosić z martwych cyfr statystycznych. Wzrastająca świadomość polskich mas roboczych pod wpływem polskich stowarzyszeń, zgromadzeń i pism **) przyczyni się już niebawem do tego, że Polacy w wielu miejscowościach Niemiec zachodnich będą czynnikiem rozstrzygającym podczas wyborów.

W procesie nasiąkania Niemiec zachodnich ludnością polską przyjmuje duży udział przypływ robotników polskich z po za Niemiec. W r. 1892 do Poznańskiego, Prus Zachodnich i Wschodnich oraz na Ślązku przybyło 21,367 z Królestwa i z Galicyi, wypierając robotników miejscowych, dążących na zachód. Liczba robotników polskich z zagranicy wzrasta ustawicznie, gdyż właściciele ziemscy na kresach wschodnich biorą tańszych najmitów z zagranicy. Piekąca ironia losu! Właśnie ci, którzy najuroczyściej głoszą swój patryotyzm niemiecki i są najzaciętszymi hakatystami, muszą sprowadzać do Niemiec Polaków tysiącami!

Tym sposobem w rdzennie polskich prowincyach żywioł polski zwiększa się podwójnie: dzięki większej płodności i dzięki napływowi Polaków z zagranicy. Dlatego to właśnie pomimo wielkiej emigracyi na zachód ludność polska na wschodzie nie zmniejsza się ilościowo. Trzeba jeszcze zwrócić uwagę i na to, że Niemcy w prowincyach polskich nietylko mnożą się wolniej od Polaków, ale emigrują jeszcze liczniej od tych ostatnich, a ubytek, ten nie wynagrodzi się przez imigracyę niemiecką, bo takie doświadczenia, jak

*) Zeszyt z maja 1898 r.

*) *Berliner Volkszahlung.*

*) To znaczy władających i polskim i niemieckim językiem.

**) W Westfalii np. wychodzą aż trzy pisma, przeznaczone dla ludności polskiej: *Wiarus, Głos górników* i *Górnik.*

robota komisyi kolonizacyjnej, nie wchodzą w rachubę jako zbyt nikła.

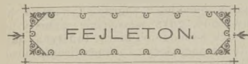
Jaką siłę przedstawia ludność polska na zachodzie Niemiec? Na to daje odpowiedź tabliczka, dotycząca Westfalii, bo do innych prowincyj brak danych dokładnych.

Okręg	Ogólna liczba ludności	W tem wogóle	Polaków %
Gelsenkirchen	157,451	30,000	20,0
Recklinghausen	142,669	28,000	20,0
Bochum	159,145	16,776	10,4
Dortmund m.	125,000	8,507	6,8
Bochum m.	57,033	[illegible]	4,7
Dortmund	109,000	4,790	4,4
[illegible]	222,544	8,500	3,8
Gelsenkirchen m.	33,949	1,178	3,5
Mülheim	126,447	3,827	3,0
Hattingen	71,679	1,500	2,1
Heerde	99,654	998	1,0
	1,297,571	106,766	8,23

Zestawiając najświeższe dane statystyczne z danemi r. 1861, nie możemy nie zauważyć jeszcze jednego znamiennego faktu. Nietylko ogólna liczba Polaków zwiększyła się — według *urzędowej* statystyki pruskiej — z 2½ milionów do 3½, nietylko stanowią oni poważną odsetkę ludności tam, gdzie ich wcale nie było, ale kiedy w 1861 r. wszystkie miasta na wschodzie Niemiec były czysto-niemieckie, dziś w znacznej mierze są spolonizowane. Na ogół biorąc, bilans dla Niemców bardzo smutny... O germanizacyi Dix wyraża się bardzo pesymistycznie. Powiada on: „O istotnej germanizacyi może być mowa tylko u polskich Żydów. Bardzo małej liczbie całkiem zgermanizowanych Polaków odpowiada tyleż Niemców (zwłaszcza katolików i Żydów), którzy, mieszkając w przeważnie polskich gminach, polonizują się z powodu religijnych, towarzyskich i ekonomicznych stosunków." Ludność polska zachodnich Niemiec też nie ulega — według Dixa—germanizacyi, gdyż mieszka w zbitej masie, żyje własnem życiem wewnętrznem i nie traci łączności z krajem rodzinnym.

Ten proces stałego wzrastania żywiołu polskiego tak w rdzennie polskich ziemiach Prus, jak i na zachodzie, ta powolna polonizacya miast niegdyś niemieckich, to zmniejszanie się procentowe ludności niemieckiej w Poznańskiem i na Szlązku, ta wzrastająca świadomość szerokich mas ludowych — oto rękojmie, że ani prześladowanie rządu pruskiego, ani orgie hakatyzmu, ani bankructwo materyalne i narodowe szlachty poznańskiej nie potrafią nietylko zniszczyć, ale nawet osłabić żywiołu polskiego w Prusiech.

Leon Wasilewski.



FEJLETON.

LIBERUM VETO.

„Kochajmy się" szwindlów.

Odebraliśmy niedawno z Paryża następujący list polski: „Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Sz. Pana, że powierzono mi jest reklamowanie ekstraktów (tu następują tytuły). Firmy te nie robią anonsów, tylko umieszczają długie *artykuły naukowe* (!), mające 100 lub 200 wierszy, oraz krótkie artykuły w *tekście* dziennika. Czy nie mógłbym zapisać Sz. Pana na liście reklamy tych firm? Czy mógłbym wziąć dla Sz. Pana rozkaz na 1,000 wierszy i za jaką cenę?" — itd. Podobne listy należą już dziś do rzeczy bardzo zwyczajnych: odbiera je prawie każda redakcya, tylko jedna rzuca do kosza, a druga odpowiada gotowością pomieszczenia „artykułów naukowych" określonej długości. Część mniejsza czytelników domyśla się zamaskowanej reklamy, większa — przyjmuje ją za bezstronny głos wiedzy, w przeciwnym razie spekulant nie ponosiłby kosztów na ogłaszanie swych badań „naukowych." Ale nawet ci, którzy widzą szydło wyłażące z worka, nie znają ani jego istoty, ani rozmiarów. Spekulacya oddawna już spostrzegła, że zuchwałość i natręctwo reklamy, że hypnotyzacya ciągle powtarzających się ogłoszeń zmusza ludzi do nabywania zalecanego towaru bez względu na jego wartość użytkową. Jak tylko fakt ten został stwierdzony, porzucono zupełnie zabiegi około udoskonalenia samych produktów i zajęto się wyłącznie udoskonalaniem środków rozgłosu i suggestyi anonsowej. Dawniej wynalazca kropli przeciw bólowi zębów lub maści na porost włosów starał się rzeczywiście o sfabrykowanie czegoś, co znieczulało nerwy szczęki lub wzmacniało cebulki włosowe. Dziś on o tem wcale nie myśli. Bierze cokolwiek: popiół ze spalonego kopyta, albo sok wierzbowy pomieszany z oliwą— aby tylko preparat uznany został przez instancye lekarskie za nieszkodliwy — i zaczyna go forsownie ogłaszać. W kolumnach pism peryodycznych, na domach, kioskach, tramwajach, dworcach kolei żelaznych, hotelach — wszędzie zresztą, gdzie tylko paść może wzrok ludzki, dostrzega jakąś dziwaczną nazwę cudownego środka. Ponieważ zaś wszystkie te „eliksiry" są zawsze przeznaczone do sprawiania skutków, których nauka osiągnąć nie może, więc każdy, prześladowany natarczywością reklamy — kupuje. Ten cierpi na zęby, drugi łysieje, trzeci ma ciągłą migrenę, czwarty podlega dokuczliwym katarom, piąty pasuje się z astmą itd. — żadnemu z nich medycyna nie pomaga, więc co począć? Trzeba spróbować: *ichtodronu, basykulu, pokaty, tukulanu* lub jakiegoś innego cudactwa. Kosztuje to tylko 50 kop. lub rubla — ryzyko małe, a nuż się wygra? Takich graczów zbierają się miliony — i miliony też spływają do kieszeni spekulantów.

Rzecz naturalna, z chwilą, w której okazało się, że zręczna, umiejętna, bezczelna reklama, ścigająca ludzi do najtajniejszych kryjówek, niepozwalająca im ani chwili zapomnieć lub pozbyć się jej, napadająca ich na ulicy, w gmachach publicznych, w domach prywatnych, wszędzie — że taka reklama ostatecznie złamie najmocniejszy upór, zaczęli nią posługiwać się nietylko wynalazcy środków leczniczych. Wszystko, co tylko jest przedmiotem handlu, przywiązało sobie jej skrzydła i dmie w jej trąby, a więc przemysł, literatura, nauka, sztuka itd. Gdybyśmy przed 25 laty spostrzegli na ścianach kiosków olbrzymie afisze, donoszące o wydaniu jakiejś powieści, sprawiłoby nam to niesmak. Dziś czytamy te plakaty bez żadnego wstrętu, a nawet dziwimy się prostoduszności tych, którzy chcą zjednywać ogół samą wartością swych wytworów. I rzeczywiście tą starą drogą chodzą jeszcze tylko dziwacy.

W zasadzie byłoby to bardzo pożądanem, ażeby o każdym nowym a uwagi godnym wyniku pracy dowiadywały się jak najszersze koła ludzi. Ale reklamie wcale nie o to chodzi: ona ma na celu jedynie zyskowne uruchomienie kapitału. Jeżeli on nie może oprocentować się korzystnie w innych przedsięwzięciach; bierze za cel wyzysku łatwowierność. Tu nie zalecana rzecz, ale wzbudzana nią wrzawa jest właściwym przedmiotem spekulacyi. Tą rzeczą może być cokolwiek — np. mąka z manny. Przypuśćmy, że ktoś mając 50,000 rubli, chce je włożyć w interes ogłoszeniowy. Więc przygotowywa sobie pewną ilość tej mąki, nazywa ją *Ki-hu ra* lub jakiemkolwiek innem mianem, nadaje jej rozmaite własności: np. wydelikacania cery, usuwania bólu głowy, powiększania lub zmniejszania tuszy, zaostrzania wzroku, powstrzymywania siwizny włosów itd., wreszcie pewnego dnia zaczyna ogłaszać swój cudowny środek. *Ki-hu-ra* ukazuje się wszędzie, gdzie tylko można kupić dla niej miejsce. Po kilku miesiącach dzieci, młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety, bogaci, ubodzy — wszyscy mają w mózgu głęboko wyryte: *Ki-hu-ra.* A młyny coraz więcej mielą manny, a składy tej mąki coraz więcej sprzedają jej w szczególnych opakowaniach. Kiedy już jej odbyt zaczyna się zmniejszać, ten sam spekulant bierze co innego — np. liście bukszpanu, które chrzci jakiemś niezrozumiałem nazwiskiem i znowu rozpoczyna się pompowanie łatwowierności. W ostatnich czasach dla lepszego osłonięcia geszeftu zamiast ogłoszeń zaczęto używać „artykułów naukowych," drukowanych w „tekście" dzienników.

Rozumie się, w tem wielkiem oszustwie przyjmuje bardzo czynny udział prasa, bez której byłoby ono niemożliwem. Dostarcza ona spekulantom nietylko trąb, ale masek, za które oni jej sowicie płacą.

Jeżeli teraz pomyślimy, że ta jej fałszerska rola nie ogranicza się do usług w zalecaniu fabrykatów przemysłu, lecz rozciąga się na wszystkie dziedziny życia, że znaczna większość pism stosuje ową metodę reklamy na własną rękę i korzyść, to godzi się zapytać, czy tak zwane „szóste mocarstwo" nie jest siłą w najgorszym stopniu ujemną, czy ono nie najgorliwiej pracuje nad utrzymaniem w świecie kłamstwa, obłudy, wyzysku i grabieży? Prasa zajmuje się wszystkiem, a w czem ona jest rzetelną? W polityce szerzy najpotworniejsze zmyślenia dla interesu państw, stronnictw, wyznań, jednostek. Rozbój nazywa protekcyą, podstęp — życzliwością, korzyść partyi — moralnem zadośćuczynieniem, łotrom przyprawia skrzydła aniołów, a dobroczyńcom — rogi dyabłów. Każdy wypadek jest w niej przeinaczony, zabarwiony i oświetlony tendencyjnie. W Europie wychodzą tysiące dzienników, rozporządzających olbrzymimi środkami i niezawodnymi sposobami wykrycia prawdy, a mimo to czy było jedno zdarzenie polityczne, którebyśmy poznali z tą dokładnością, z jaką np. poznaliśmy czyny pszczół i mrówek? Zabija się arcyksiążę Rudolf — prasa kłamie; skazują Dreyfusa — prasa kłamie; toczy się wojna hiszpańsko-amerykańska —prasa kłamie; dokonywa się przewrót w Chinach — prasa kłamie — po co wreszcie tak daleko sięgać — ksiądz w Kownie dopuszcza się jakichś okrucieństw względem grzeszników — i prasa natychmiast zaczyna łgać politycznie. Czy my wiemy coś pewnego o życiu społecznem? Bynajmniej. Pisma z zupełną świadomością fałszują każdą działalność grup, jednostek i instytucyj w duchu własnych i cudzych celów. Nie odbędzie się najzwyklejsza zabawa na ubogich, ażeby w sprawozdaniach o niej nie pracowało kłamstwo. Z tych samych pobudek nauka pogwałcona, sztuka okryta płaszczem obłudy, literatura zapędzona do służby. Dziennikarz nie może napisać recenzyi o książce lub widowisku teatralnem, ażeby nie sprzeniewierzyć się rzetelności. Zamilcza to, co autor powiedział, podsuwa mu słowa i myśli, których on nawet nie śnił, a gdy skrzywdzony zaprotestuje i wykaże fałsz, nikogo to nie oburzy i nie zadziwi. Potępiamy morderstwa, kradzieże, oszustwa i inne występki, ale dowód najbezmyślniejszego kłamstwa nie przejmuje nas zgrozą. Przeciwnie, nieraz zachwycamy się nim jako: polityką, taktem, oportunizmem itd.

Zadajmy sobie pytanie radykalne: czy prawda jest nam dziś rzeczywiście potrze-

bna w życiu, czy też stanowi rodzaj zbytku lub nawet kłopotu? Czy może należy oną do przyszłości? Zdaje się, że tak jest. Obecny ustrój życia nie utrzymałby się przy prawdzie. Kłamstwo jest konieczną jego podwaliną. Gdybyśmy pewnego dnia zaczęli wszyscy nie kłamać i postępować rzetelnie, rozległby się tak groźny trzask w pękającem wiązaniu naszych stosunków, że przerażeni podparlibyśmy je natychmiast kłamstwem. Więc i prasa taka, jaka jest, obłudna, przewrotna, nieszczera, wykrętna, odpowiada istotnie potrzebom praktycznym ludzkości. Być może, iż kiedyś w oddali widzeń i przeczuć marzycieli będzie ona inną, albo nawet nie będzie jej wcale — w co ja osobiście wierzę — że wówczas kłamca publiczny będzie stawiany pod pręgierzem, ale dziś w obrębie „szóstego mocarstwa" trudno o tem myśleć. Co najwżej należałoby troszkę połatać okropnie podartą konsekwencyę. Mianowicie, jeżeli nietylko wolno, ale pożądanem jest prawdy naukowe ogłaszać za bluźnierstwa, niecnoty polityczne za poświęcenia, łotrów za zbawicieli świata, a dobroczyńców za nieponiów, dlaczego ma być karygodnem, niesumiennem lub tylko nieprzyzwoitem ogłaszanie liści bukszpanu lub mąki mannowej za cudowne środki lecznicze? Dlaczego cała tegoczesna spekulacya anonsowa na łatwowierność ludzką ma nam sprawiać niesmak moralny? Rozmaite szwindle powinny zawrzeć sojusz i nie dyskredytować się wzajemnie. Nie toczą one dziś otwartej wojny, ale szkodzą sobie podjazdami. Po co to? Kiedy w wiecznym pokoju każdemu z nich będzie lepiej. Jeden złapie sto ryb na taką wędkę, a drugi tyleż na inną. Życie zaś jest zbyt wielkim oceanem, ażeby w nim ryb zabrakło. Więc wszystkie kłamstwa, obłudy szachrajstwa wyciągnijcie ku sobie przyjacielskie ręce i zawołajcie: „Kochajmy się!.."

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

PRAWDA HISTORYCZNA I INTERES POLITYCZNY.

Wyczerpali już, zacząwszy od Schopenhauera i Buckla, filozofowie wszystkie argumenty przeciwko historyi jako nauce. Odmawiają jej charakteru umiejętnego z powodu niemożliwości wysnucia z niej ogólnych prawd, owych praw odwiecznych rządzących zjawiskami, które są najwyższym celem wszelkiej umiejętności, a którego osiąganiem słusznie szczyci się wiedza przyrodnicza.

Ale po za tymi wszystkimi argumentami filozoficznymi jest jeszcze jeden bardzo trywialny, ale bardzo uzasadniony, mianowicie, że wszyscy historycy kłamią okrobnie, jedni w złej, drudzy w dobrej wierze, jedni świadomie, drudzy nieświadomie, ale ostatecznie wszyscy kłamią. Skąd to pochodzi? Rozmaite są tego przyczyny, które jednak wszystkie dadzą się sprowadzić do wspólnego mianownika a tym jest: interes polityczny.

Nie ma prawie historyka, któryby nie pisał historyi w jakimś „wyższym celu" — to znaczy — w jakimś interesie politycznym, biorąc słowo to w najszerszem znaczeniu.

Jednym powoduje miłość ojczyzny i tej miłości poświęca on prawdę; drugi chce uświetnić różnych bohaterów koronowanych lub niekoronowanych i gwoli temu uświetnieniu również przekręca prawdę. Pomijam niezliczoną gromadę płatnych historyografów, którzy służą swoim chlebodawcom, ale jakaż jest wielka liczba tych, co dla pewnych instytucyj politycznych lub urządzeń społecznych dopuszczają się fałszów?

Tutaj duchowny chce wykazać wyższość swojego kościoła nad innymi, tam monarchista chce udowodnić wyższość monarchii nad republiką, to znowu republikanin pisze dzieje w duchu swoim. Jeden chce wykazać zalety ustroju feudalnego, drugi błogie skutki wolności handlowej.

Każdy ze swego stanowiska przerabia prawdę historyczną, często w najlepszej wierze.

I to właśnie wiecznie tendencyjne pisanie historyi jest największą przeszkodę podniesienia jej do godności nauk. Bo nauka przedewszystkiem wymaga materyału rzetelnego i tylko z takiego materyału można wysnuć ogólne prawdy.

Czyby nauki przyrodnicze mogły były dojść do ustalenia ogólnych praw, gdyby nie rozporządzały materyałem prawdziwym, tj. gdyby zamiast spostrzeżeń ścisłych miały do obrabiania same bajki i fałsze?

Tymczasem nasza dotychczasowa historya, śmiało to powiedzieć można, nie jest niczem innem, jak zbiorem fałszów i bajek. Uczą nas jej ciągle, ale po kilku dziesiątkach lat pokazuje się, że to wszystko, czego nas uczono, nie warte funta kłaków. Przypomnijmy no sobie my, którzy siódmy krzyżyk dziś dźwigamy, czego nas uczono w pierwotnych latach szkolnych o Romulusie i Remusie, o królach rzymskich, o Numie Pompiliuszu i mądrej Egerii: ledwieśmy wyszli ze szkół, dowiedzieliśmy się, że to są bajki. Albo czego nas uczono o Persach, Medach i Assyryjczykach: biada temu, który tego nie zdołał umieścić w swej pamięci. Dziś wiemy, że lepiej by było pójść na ślizgawkę, niż dręczyć głowę bzdurstwami, w których ani krzty prawdy nie było.

Ale idźmy dalej, do młodszych, do dzieci naszych, których my sami pilnowaliśmy, żeby się uczyły na pamięć Szujskiego albo Bobrzyńskiego. Czegośmy od nich chcieli? Żeby sobie do młodych głów pakowały wierutne fałsze i bajki! Nie przesadzam; tak jest istotnie.

Proszę wziąć do ręki pośmiertne dzieło Maksymiliana Gumplowicza „Zur Geschichte Polens in Mittelalter" a znajdziemy w niem najdowodniej wykazane, że we wszystkich naszych historyach Polski, zacząwszy choćby tylko od Naruszewicza, a skończywszy na Szujskim i Bobrzyńskim, rzeczy najopaczniej są przedstawione. Czytamy tam jednogłośne żale na tego biednego „bękarta" Zbigniewa, który poczciwego brata swego, Bolesława Krzywoustego, ciągle trapił i bunty mu wzniecał: tymczasem dzisiaj przedstawiono nam najdokładniejsze dowody, że rzecz przeciwnie się miała, że Bolesław Krzywousty starszego i prawowitego brata z tronu strącił, kazał go oślepić i zabić. Nadworny zaś jego historyk, Baldwin Gallus, za mitrę biskupią sprzedał się swemu panu i rzecz przeciwnie przedstawił, prawdę historyczną przekręcił. W innym zaś punkcie, gdzie nie był bezpośrednio interesowany, w sprawie biskupa Stanisława, powiedział prawdę i nazwał go zdrajcą. Ale tu znowu późniejsi pisarze w interesie Rzymu przekręcili tę prawdę i ze zdrajcy zrobili świętego, a z Bolesława Śmiałego, który działał z polecenia Grzegorza VII i chciał biskupa zmusić do przyjęcia reform papieskich—zbrodniarza i mordercę! Tak nas znowu uczono od Naruszewicza do Bobrzyńskiego i tak dzisiaj jeszcze uczą po szkołach.

Tymczasem we wspomnianej książce najdobitniej dowodzi M. Gumplowicz, że rzecz zupełnie inaczej się miała. Albowiem w Polsce walczyły z sobą dwie partye duchowieństwa: jedna staropolska, czy słowiańska, która się trzymała dawnego obrządku krajowego, pozwalającego księżom się żenić, a szlachcie korzystać z dóbr duchownych, klasztorów i kościołów, jak gdyby z własności swojej rodzinnej; druga zaś, gregoryańska, która dążyła do odosobnienia kościoła wraz z nadanemi mu dobrami i w tym celu przedewszystkiem starała się zaprowadzić celibat duchowny. Św. Stanisław stał na czele pierwszej partyi i łączył się z przeciwnikami papieża, cesarzem Henrykiem IV i Władysławem II czeskim, wrogami Bolesława Śmiałego. Powstała wojna domowa, w której wprawdzie zginął, zapewne z bronią w ręku, biskup Stanisław, ale w końcu partya jego zwyciężyła i papistę, Bolesława Śmiałego, z kraju wypędziła, ten zaś musiał szukać przytułku u Władysława Świętego, króla węgierskiego, również zwolennika papieskiego i wroga Czech.

To wszystko Gumplowicz udowadnia na zasadzie źródeł i dokumentów za pomocą *krytyki historycznej*, której bystrość i misterność uznali A. Rembowski i Adam Pawiński.

Więc cóż dziwnego, że wobec takich faktów trudno nam przyznać historyi charakter umiejętności, bo przedewszystkiem zachwianem w nas jest zaufanie do jej podstaw faktycznych. Wiecznie bowiem widzimy, że prawda historyczna gwoli interesom politycznym bywa fałszowaną i to wiecznie pod pozorem miłości prawdy.

Skąd to pochodzi? Rzecz prosta. Od czasów wielkiego adwokata-polityka rzymskiego Cycerona, który zręcznie potrafił nakręcać fakty w widokach osobistych i naginać prawdę do celów stronniczych, godłem historyków stały się słowa jego „historia magistra vitae." Z wielką emfazą powtarzają tę złowrogą dla wszelkiej prawdy i umiejętności zasadę wszyscy dziejopisarze. Bo co te słowa znaczą? Znaczą poprostu, że historyk powinien używać swej nauki w celu „magistrowania," czyli majstrowania życia, że nie prawda, ale naprowadzenie ludzi na pewne drogi, przeciąganie ich na stanowiska subjektywne ma być celem dziejopisarstwa.

Tym sposobem z pełną świadomością zrobiono z historyi środek do celów praktycznych, politycznych: zdegradowano ją do adwokackiego „pisma spornego." I od tego czasu do dziś jest ona areną adwokacko-polityczną, gdzie księża bronią kościoła, katolicy kuryi rzymskiej, lutrzy reformacyi, gibellini cesarstwa, konstytucyonaliści parlamentaryzmu, republikanie rzeczpospolitej, narodowcy zjednoczenia narodowego, partykularyści władzy drobnych książątek, stańczycy możnowładztwa, demokraci burżoazyi itd. itd. Każdemu chodzi o „majstrowanie" życia, nikomu o prawdę historyczną.

A ponieważ życie dziejowe płynie coraz innemi korytami, więc ci „majstrowie" naginają prawdę historyczną do coraz innych kierunków, każą jej coraz inne „objawiać" idee. Według zmiennych z biegiem czasu, różnych prądów i stanowisk autorów historya musi zawsze co innego belfrować, żeby zawsze była *magistra vitae*. Następstwem zaś tych ciągłych manewrów adwokacko-politycznych jest, że tendencye polityczne zabijają wiecznie prawdę. Czy to zawsze tak będzie? Nie koniecznie! Miejmy nadzieję, że umiejętna *krytyka historyczna* uniemożliwi kiedyś historyę tendencyjno-polityczną i przygotuje materyał czysty, mogący służyć za podstawę i przedmiot do *nauki* historycznej.

Oczywiście będziemy wtedy musieli *oduczyć* się bardzo wielu rzeczy, których *nauczyliśmy* się dotąd.

Ten lub ów monarcha średnich wieków nie będzie nam się już przedstawiał jako

bohater walczący dla rozszerzenia wiary, ale poprostu jako dzielny herszt, chcący rozszerzyć swoje panowanie. Ta lub owa partya polityczna wieków średnich nie będzie walczyła za jakąś ideę nowożytną, wtedy nieznaną, ale tylko jako grupa społeczna, dążąca przedewszystkiem (co leży w naturze rzeczy) do zapewnienia sobie dóbr doczesnych, wpływów społecznych i władzy nad innemi grupami. Może być, że historya wtedy straci wiele poetyczności i fałszywego idealizmu, ale zyska na prawdzie i nastręczy możliwość formułowania ogólnych praw, rządzących rozwojem społecznym ludzkości, co ostatecznie jest najwyższym celem umiejętności. „Majstrowie“ zaś polityczni, drapujący się dzisiaj w togi „historyków,“ stracą łatwowierną publiczność, która dziś jeszcze z pobożnością słucha smalonych duhów, podawanych jej jako „dzieje przeszłości,“ a mających skryty cel nawracania jej bądź do „gminowładztwa,“ bądź do „konstytucyonalizmu,“ bądź do stańczykostwa, jak to np. czyni cała szkoła historyczna galicyjska Szujskiego i Bobrzyńskiego. Nie łudźmy się jednak: do takiego zwrotu jest bardzo daleko, a tymczasem dużo jeszcze po szkołach będą uczyli takich historyjek, których kiedyś trzeba się będzie oduczyć.

Ży.



LITERATURA POLSKA.



Adam Krechowiecki: *Rdza.* Powieść. Dwa tomy. Warszawa, 1898. — Adolf Dygasiński: *Szelągi kieleckie.* Dwa tomiki. Kielce, 1898.

Utwór powieściowy p. Adama Krechowieckiego ma być wiernem odbiciem współczesnych stosunków galicyjskich, ma uzasadniać, czy ilustrować pewną tezę i przytem, naturalnie, malować artystycznie prawdziwe charaktery ludzkie w różnych kolizyach życiowych. W rzeczywistości, jest on, co najwyżej, wymowną ilustracyą znikomości najpiękniejszych zamiarów autorskich, jeżeli nie odpowiada im poczucie prawdy i życia, oraz szczere, gorące ukochanie człowieka i przejęcie się jego bólami, czego zastąpić nie zdołają ani sceny melodramatyczne, ani czcza frazeologia o wszystkich rzeczach i wielu innych, uprawiana tak chętnie przez powieściopisarzy galicyjskich.

Nad utworami podobnymi umieszczaćby należało jedną, wspólną dla wszystkich dewizę: „Słowa, słowa, słowa!“ Shakespearowski królewicz duński nie przypuszczał zapewne, że echo okrzyku, rzuconego od niechcenia w rozmowie z uosobieniem dworactwa — Poloniuszem, rozbrzmiewać będzie przez całe stulecia i że lakoniczny sąd jego da się do pewnej kategoryi dzieł ludzkich zastosować równie dobrze na progu dwudziestego wieku, jak za panowania w Danii zbrodniczego małżonka Gertrudy.

Wszechwładny frazes, kochanek stańczyków galicyjskich, odcisnął na nowej książce p. Krechowieckiego niezatarte piętno. Autor kilku powieści historycznych, w których obok wpływu Sienkiewicza dostrzedz można pewien rozmach i siłę, upodobał sobie świeżo wyraz „rdza“ szafuje nim bez litości, kładąc go po kolei w usta każdej z licznych figur swego utworu, przesuwających się, jak w jasełkach, przed oczyma czytelnika.

„Państwo dyabli wzięli, ale szlachecka krew pozostała — odzywa się np. niejaki pan Osetkowski. — A to jest jak rdza, której nie wywabisz. Przylgnie do człowieka i żre...“ „Bo to jest prawda — mówi nieco dalej profesor Rolicz — każdy człowiek ma jakąś rdzę w sobie, *mają ją* całe warstwy społeczne.“ „Jak rdza, przejadło to kłamstwo dusze nas wszystkich“ — skarży się na początku tomu drugiego hrabina Zempach w melodramatycznej rozmowie z mężem. Tajemnice familijne rodziny Zempachów czepiają się także, „jak rdza,“ duszy Ireny Zbąskiej, jednej z głównych bohaterek utworu, w nieprawdopodobnej i rażąco naiwnej scenie z Przemyskim, mającej jednak duży wpływ na dalszy przebieg akcyi powieściowej. Wyraz „rdza“ spotykamy, słowem, co kilkanaście stronic, powtarzają go wszyscy po kolei, powtarza sam autor bez końca, zapominając o stylistycznej już tylko zasadzie nienużenia czytelników jednem i tem samem porównaniem.

Gdybyż przynajmniej przy tej sposobności odmalował naprawdę jakąś rdzę potężną, trawiącą całe warstwy społeczne i wypisującą nad niemi Baltazarowe: *Mane, tekel, fares!* Ale nie! Powieść p. Kr. jest sobie zwyczajnem dosyć, nieciekawem nawet w gruncie rzeczy odtworzeniem dziejów przedślubnych jednej jeszcze pary kochanków, tem chyba urozmaiconem nieco, że Pompiliusz — Wilski jest w danym razie ubogim, od dziecka opuszczonym przez ojca studentem medycyny, następnie skromnym lokarzem, a Numa — Irena, uwolniona w sam czas od szubrawca-męża, ginącego, jakby na zawołanie, w pojedynku, nosi tytuł hrabianki i jest córką ograniczonego pyszałka, zbankrutowanego pana na Zbyszynie, mającego być zresztą na szczęście „tylko śmiesznym wyjątkiem, a nie typem swej sfery społecznej.“ Naturalnie!

Autor razem z Wilskim, panem Hieronimem i czytelnikiem dziwi się niejednokrotnie, „skąd się wzięła ta istota (Irena) wśród tego otoczenia, skąd takie rozważne i dzielne myśli rodziły się w tej jasnej, małej główce“ itd., lecz wątpliwości jego nikt pod tym względem nie rozjaśnia. Po za tem wszystko w powieści odbywa się prawidłowo: cnota tryumfuje na całej linii, występek zstaje pohańbiony, a nawet zjawia się i bogaty stryjaszek, w osobie wymienionego już pana Hieronima, gorący protektor młodej pary, zapisujący jej miliony, jak na „prawdziwego“ Zbąskiego przystało, i wszystko się kończy nareszcie ku niewątpliwemu zadowoleniu czytelników.

Prawdy życiowej, charakterów, pewnej logiki wewnętrznej, tych wszystkich przymiotów, stanowiących o wartości utworu literackiego, trudno się doszukać w „Rdzy,“ gdzie wszystko zależy od wszechwładnego *widzi mi się* autora, wprowadzającego bezładnie coraz to nowe postacie i naginającego je do powziętej z góry tendencyi. Jeżeli gdzie, to w pierwszych rozdziałach powieści, malujących lwowskie stosunki urzędnicze, mamy kilka dobrze uchwyconych z rzeczywistości sylwetek i sytuacyj, ale w dalszym ciągu manekiny przeważają nad postaciami żywemi, a frazes nad naturalnością i prawdą.

O ileż więcej szczerości i życia w tej garści „Szelągów kieleckich,“ którą p. Adolf Dygasiński, często dosyć przypominający się czytelnikom w ostatnich czasach, daje nam znowu w dwóch skromnie wyglądających tomikach. Dygasiński jest zdolnym nowelistą-psychologiem, jednym z najlepszych u nas znawców duszy chłopskiej, którą maluje z zamiłowaniem i prawdą. Większe utwory, o ile zwłaszcza autor wybiega w nich po za ulubioną sferę chłopów, psów, wilków i wogóle istot, stojących na niskim stopniu rozwoju kulturalnego, nie zawsze mu się udają, ale dosyć przeczytać jakikolwiek drobiazg, osnuty na jednym z ulubionych motywów jego twórczości, aby się pogodzić na nowo z wybitnym talentem nowelisty-myśliciela, podziwiając trafność i głębokość jego spostrzeżeń, artyzm w kreśleniu poszczególnych scen i sytuacyj, a zwłaszcza to prawdziwie męzkie, pozbawione fałszywej czułostkowości współczucie dla wszystkiego, co słabe i cierpiące, co opuszczone i nieszczęśliwe.

Treść tej garstki drobiazgów, które wyszły świeżo z pod pióra autora „Głodu i miłości,“ nie kryje dla czytelnika niespodzianek ponętnych, nie pociąga nadzwyczajnością, jest prosta i naturalna, jak samo życie na niższych szczeblach drabiny ludzkiej. Więc też nie owe przygody w Kielcach i na warszawskim bruku niefortunnego furmana, Szymka Ziarno, z pierwszej z rzędu noweli w zbiorku, nie strona zewnętrzna i różne komiczne i bolesne epizody walki między dziedzicem - żydem a chłopem - kłusownikiem („Dziedzic i kłusownik“) zaciekawiają nas tak żywo, ale raczej wszystkie te, potężne niekiedy, drgnienia dusz prostych, głęboko ukryte zazwyczaj przed wzrokiem profanów, które, dzięki autorowi, słyszymy i odczuwamy tak dobrze.

Dygasiński jest z zawodu pedagogiem i świat dziecięcy zna dobrze i kocha gorąco. Dowodem chociażby „Ćwieki w głowie,“ jedna z najdłuższych i najładniejszych nowel w „Szelągach kieleckich,“ której niektóre ustępy postawilibyśmy tuż obok prześlicznych „Grzechów dzieciństwa“ Prusa. Męczarnie wychowania współczesnego z tysiącem wokabuł i rozmówek francusko-niemieckich, spadających ołowiem na umysł młodociany, wesoła naiwność dziecka, duma młodego gimnazisty z pierwszego zwycięztwa na egzaminie, pierwsze żywsze uderzenie serca pod granatowym mundurkiem—wszystko to zostało tu odtworzone z wyborną prostotą i naturalnością.

Z innych nowel i szkiców jeden tylko „Alegant,“ nędzarz wiejski, marzący życie całe o butach i ginący marnie z ich powodu, razi jakąś nutą fałszywą, jakby zapożyczoną z „Janka muzykanta,“ nieodpowiednią tutaj zupełnie. A przytem motywy podobne ogrywało tyle trzeciorzędnych fujarek nowelistycznych, że dla Dygasińskiego w tym chórze miejsca poprostu już niema.

Władysław Bukowiński.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Molier: *Chory z urojenia.* — Leon Madejski: *Albo niebo, albo piekło.*

Sobotnie przedstawienie w Rozmaitościach przypomniało nam najświetniejszą dobę rozkwitu naszego teatru. Genialny Molier, znakomita reprezentacya — dalibóg — czy czasem i Rozmaitości w ostatnich czasach nie były chore z urojenia?... Molier dotknął twórczą ręką ich czoła, zbudziły się nagle z letargu, błysnęły iskrami humoru, fantazyi, myśli, życia, odtworzyły nam świat ludzki, pobudziły nietylko do śmiechu, ale i do myślenia, zdobyły się na artyzm wolny od wszelkiej pruderyi, akademickiej sztywności, jednem słowem na rozmach i dowiodły, że umieją, gdy chcą, stać na szczeblu wymagań. Jedyną plamką na tem słońcu doskonałości była jednoaktówka Madejskiego, plamką, boć trudno tak błahy drobiazg, o którym się z zapadnięciem zasłony zapomina, nazywać tragicznie plamą. Jeżeli się ową drobnostkę ściśnie jak cytrynę, to wysączy się z niej teza nie tyle artysty, ile budurowego moralizatora: każda kobieta powinna się myć,

czesać i ładnie ubierać, bo inaczej mąż będzie na nią płakał; obowiązuje to przedewszystkiem artystki - malarki, które z natury rzeczy i zajęcia są mniej porządne i dbałe o czystość i ład w domu... Jest to charakterystyczną cechą umysłów banalnych, że wciąż chcą moralizować; natomiast umysł genialny, figlując nawet piórem, uczy, charakteryzuje, dowodzi i rzuca garściami głębokie uwagi. Madejski już w tytule sztuki stawia tezę. Molier powiada tylko: przedstawię wam chorego z urojenia — a śród zawijasów krotochwili umie znienacka poruszyć najbardziej aktualne zagadnienia swojego wieku, wyśmiać ówczesne szkoły, ówczesne fakultety, nadętą i pustą retorykę szarlatanów, przybranych w togę wiedzy, otacza biednego hypochondryka całą zgrają wyzyskiwaczy jego słabości, gromadzi całą galeryę typów; przedstawiając ludzi nie zapomina nawet o dzieciach. W tej kropelce myślowej, migającej pozornie barwami poliszynela, odbija się cały świat!

Utwór Moliera ma cechy wszechludzkie a zarazem był nawskroś aktualny — i to jest właśnie znamieniem, na który powinniśmy zawsze kłaść szczególny nacisk. Jeżeli przeszłość ma nas w sztuce czegokolwiek nauczyć, to przedewszystkiem tego. W historycznem oddaleniu zatracają się zwolna cechy aktualności i to wywołuje nieraz fałszywe sądy estetyczne; pozostają tylko cechy wszechludzkie a dzieło, wyniesione do wyżyny sławy i rozgłosu, bywa tem tylko znamieniem stawiane za wzór młodym pokoleniom. Przedsiębiorstwa artystyczne i literackie, w obawie o byt materyalny, lękając się narazić komukolwiek, dokładają wszelkich starań, aby młodzież wyłuskać z wszelkiej aktualności i obniżyć ją do normy średnio popłatnego konwenansu, pozbawionego wszelkiego ryzyka, o ile ta młodzież nie wyrobi sobie inną drogą takiego imienia, że wtedy wolno jej będzie wszystko, aż niemal za wiele. Sądzimy, że nikt owej aktualności inaczej, jak my, nie pojmie, gdy zastrzegliśmy się na początku, że winna ona wykwitać z tła wszechludzkiego. Cechy te uczyniły Moliera sławnym i niepospolitym śród współczesnych; po dwustu latach odnajdujemy w jego utworach cząstkę siebie.

Winszujemy Rozmaitościom tego wieczoru. Ale oko nasze wybiega w przyszłość i myśl ciągnie niby ptak w stronę ideału. Mimo wszelkich zalet sztuki i gry zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że jest to pochód znaną, utorowaną przez innych drogą. Tego rodzaju teatr jak Rozmaitości, powinien nietylko umieć odtwarzać, ale i stwarzać, nietylko dowodzić, że umie świetnie robić to, co najsławniejsi robili, ale torować drogę nowym prądom sztuki i reprezentacyi. Wyrażamy nadzieję, że z chwilą, gdy umiał z pyłu zapomnienia wyciągnąć arcydzieła przeszłości, to nie stanie w połowie spełnionego zadania, ale sięgnie śmiało po najlepsze rzeczy, na jakie zdobyła się współczesność, że zrozumie je i z takim pietyzmem odtworzy, z jakim odtwarza Moliera lub Fredrę — a przyznajemy, że ta druga połowa zadania trudniejsza od pierwszej, bo wymaga większej samodzielności, bujniejszej fantazyi i głębszej intuicyi.

Andrzej Niemojewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

MONOGRAGIE. Księgarnia K. Grendyszyńskiego wydała w zbiorze p. t. „Życiorysy sławnych Polaków“ następujące studya z portretami: S. Tarnowski: „Adam Mickiewicz,“ życie i dzieła (98 str.); P. Chmielowski: „Tadeusz Czacki,“ jego życie i działalność wychowawcza (119 str.); F. Hosick: „Fryderyk Chopin,“ zarys biograficzny (107 str.); L. Świeżawski: „Jan Śniadecki,“ jego życie i działalność naukowa (82 str.); W. Nowodworski: „Jan Zamojski,“ jego życie i działalność polityczna (98 str.). Cena każdego tomiku 50 kop.

— Nakładem tejże księgarni wyszło dwutomowe dzieło z portretem J. Tretiaka: „Młodość Mickiewicza (1789—1824), życie i dzieła“ (395 i 305 str.).

POWIEŚCI. A. Krechowiecki: „O tron,“ część I Ostatni dramat (350 str.); część II Piast (387 str.).

— K. Junosza: „Za mgłą,“ obraz z życia wiejskiego (307 str.). Dubowski.

— M. Milkuszyc: „Kwiaty i ciernie życia,“ nowele (221 str.). Dubowski.

— M. Jokaj: „Poruszmy z posad ziemię,“ przeł. A. Callier, cztery tomy (264, 247, 278 i 276 str., cena 80 kop.). Gebethner i Wolff.

— Aer: „Złudzenia,“ opowieść z czasów ks. Józefa Poniatowskiego (362 str.). Gebethner i Wolff.

POEZYA. W. Karoli: „Przyszłość“ (68 str.). Fi-
[illegible]

— Redakcya *Gazety Polskiej* bezpłatne dodatki tygodniowe rozpoczęła dramatem w 5 aktach S. Kozłowskiego: „Taboryci“ (173 str.).

PODRĘCZNIKI. D. W. W.: „Proza i poezya w przykładach z najcelniejszych autorów i mówców dla użytku młodzieży“ (686 str.). Orgelbrand.

KALENDARZE. „Ognisko domowe,“ kalendarz popularno ilustrowany na r. 1899 (cena 15 kop.). Dubowski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NIECO Z ETYKI I EKONOMII.

II. *Cnoty i przywary.*

Ekonomiści pospolitego znaku nie poprzestają na analizie zjawisk i stosunków, właściwych sferze gospodarstwa narodowego. Niekiedy nawet jakby świadomie unikali podjęcia takiego zadania. Wolą oni dawać mądre rady, wychwalać „cnoty“ i karcić przywary ludzkie! Zwłaszcza pod dotknięciem pewnych zdawkowych autorów, ekonomia polityczna przeinacza się do niepoznania: z nauki o gospodarstwie społecznem zamienia się na zbiór morałów, dotyczących osobistego postępowania. Są to zazwyczaj moralizatorowie bezwzględni. Gdyby mogli, wyrwaliby wszelkie „złe“ z korzeniem. Przyznali oni bogactwo narodowe za najwyższe dobro i z tego stanowiska rozpatrują wszystkie postępki ludzkie. Każdą minutę straconą bezużytecznie poczytują za ciężki grzech i znieśliby wszelkie odpoczynki, nawet najniezbędniejsze, wszelkie rozrywki, nawet najniewinniejsze, słowem wszystko, co w ten lub inny sposób nie przyczyna się do wzrostu bogactwa narodowego.

Parę przykładów wystarczy.

„Na właściwą ocenę czasu długo jeszcze czekać trzeba będzie nawet i w innych krajach Europy — E. Herrmann pisze *). Dobę nie zbyt cenią, tembardziej zaś nie istnieją godziny, ani minuty; nawet klasy wykształcone nie mają właściwego pojęcia o doniosłości i znaczeniu w życiu minut i sekund i na stratę ich nie zwracają najmniejszej uwagi. Tymczasem jeśli dodamy minuty i sekundy, niespożytkowane w życiu codziennem, to w rezultacie otrzymamy lata całe.“ Przyjrzyjmy się popełnianej zbrodni. Chodzi o czas, tracony na postojach tramwajowych. E. Herrmann, zarządzając tym rodzajem komunikacyi w Wiedniu, skrócił czas przystanków o parę sekund i według swego własnego obliczenia zaoszczędził ludności miejskiej, na 4,000 przystanków tramwajowych (po dziesięć osób na wagon), przynajmniej 16,000,000 sekund, co przy 12-godzinnym dniu pracy daje 370 dni roboczych. Takie są rezultaty, wynikające z zaoszczędzenia zaledwie paru sekund! Naturalnie, takie oszczędności, ze stanowiska postępu społecznego, są rzeczą bardzo cenną i dalecy jesteśmy od lekceważenia tego rodzaju drobnych przyczynków do wyzwolenia istoty ludzkiej z pod jarzma przyrody. Lecz E. Herrmann rozważa je z innego punktu. „Gdy wyliczenia te — powiada on — rozwiniemy w dalszym ciągu i weźmiemy w rachubę drobne, niedające się spostrzedz straty czasu, mijające bez żadnego celu i korzyści, to, bez wątpienia, wynik będzie się równał całym wiekom, które, odpowiednio zużyte, przyniosłyby milionowe zyski, obecnie zupełnie niewyzyskane.“ Profesor wiedeński rozszerza swe obrachunki i wreszcie podaje ostateczny rezultat, wyrażony w pieniądzach: 11 milionów rubli, straconych rocznie przez mieszkańców Europy na wyczekiwaniu na stacyach tramwajowych i kolejowych. W całym też rozumowaniu istota ludzka jest traktowana jako zwierzę, które winno każdą wolną minutę zużywać na robienie majątku i powiększanie w ten sposób „mienia narodowego.“ Jeśli tak czyni, jest „cnotliwem“ — z punktu moralności, propagowanej przez ekonomię pospolitą.

Inny przykład zaczerpniemy z książki p. Kirszrot-Prawnickiego:

„Pasorzytem niemniej szkodliwym, skazującym na przedwczesną zagładę wiele wartości wchodzących w skład naszego mienia, wycofującym z użytku tysiące przedmiotów, które mogłyby przez długie jeszcze lata spełniać swoje przeznaczenie, jest — moda... W ten sposób dzień dzisiejszy staje się wrogiem wczorajszego: wyśmiewa, potępia, niszczy wszystko to, co dzień wczorajszy stworzył, chociaż ono ani użytku, ani nawet świeżości nie utraciło. Fala mody topi w swoich nurtach rzeczy, które jeszcze przez długi czas mogłyby nam przynosić użytek lub sprawiać przyjemność.“

I znowu pospieszam dodać, iż mi bynajmniej nie chodzi o obronę mody: jest to zaraza moralna, świadcząca o małem wyrobieniu indywidualności ludzkiej i poczucia rzeczywistego piękna. Tam, gdzie ona się sroży, nosimy nie to, w czem nam pięknie, ani nie posługujemy się rzeczami, najbardziej dostarczającemi nam przyjemności, lecz tem, co przyniesie nam epidemia naśladownictwa. Ale inny zgoła duch tkwi w argumentach p. Kirszrot Prawnickiego: chodzi mu o „zagładę wielu wartości,“ o liczenie się ze względami, obcymi naszemu „ja.“ Nie upodobania nasze, którym rzecz jeszcze cała i dobra mogła się uprzykrzyć, lecz gromadzenie mienia powinno, jego zdaniem, rządzić naszymi czynami!

Taką jest etyka ekonomistów. Żywa, czująca istota ludzka została poświęconą na ołtarzu kategoryi bezosobistych, mniejsza, pod jakiemi słyną one nazwami: postępu wytwórczości, wzrostu bogactwa narodowego, rozwoju oszczędności. Przypomina mi się oburzenie Ruskina, gdy od wrażeń estetycznych zwrócił się do studyów nad nauką gospodarstwa i znalazł tam zupełną obojętność dla potrzeb i łaknień konkretnego człowieka. Dla tego czciciela piękna nie ma na świecie innego bogactwa, tylko życie — życie, w którem zawarto całą potęgę miłości, radości i zachwytu. Trzeba ludziom wyłożyć — twierdził on — że prawdziwe żyły bogactwa posiadają barwę czerwoną, nie zaś złotą; że ukryte są one nie w skałach, tylko w ciele ludzkiem; że ostateczne spożycie wszelkiego bogactwa powinno być skierowane ku możliwie rozległej produkcyi istot ludzkich, odznaczających się siłą oddechu, mocą wzroku, radosnem u-

*) *Przyczynek do psychologii ludów.* Warszawa 1898.

sposobieniem; że wreszcie z pośród gałęzi przemysłu narodowego najzbytkowniej powinna być uprawianą gałąź, poświęcona produkcyi dusz ludzkich dzielnej miary! Jego zdaniem, „rzetelna ekonomia polityczna, lepiej: społeczna, zamiast twierdzenia, iż gromadzenie pieniędzy w kraju stanowi jedynie bogactwo, powinna przyuczyć ludy do pracy nad rzeczami, potęgującemi napięcie życia i do pogardy dla rzeczy, które je ścieśniają.“ Co humanista ten rzekłby, gdyby go poczęstowano następującą receptą, wyjętą z książki p. Kirszrot-Prawnickiego:

„Anglicy mówią: *time is money* i mają słuszność, czas to rzeczywiście pieniądz, i to droższy od każdego innego. Człowiek, który pracuje tylko sześć godzin dziennie, zamiast dwunastu, jest wielkim marnotrawcą, traci bowiem połowę swego zarobku. Jeżeli teraźniejsza jego praca wystarcza mu na zaspokojenie wszystkich potrzeb, to przy spotęgowanej pracy, nie nadwyrężając bynajmniej zdrowia, mógłby zarabiać dwa razy tyle, robić oszczędności i dojść z czasem do większego lub mniejszego majątku. Próżniactwo przez sześć godzin na dzień, to marnotrawstwo połowy zarobku, połowy życia!“

Co powiedziałby na to Ruskin i wogóle człowiek z głębszym poglądem na życie? Czy poparłby radę zarabiania dwa razy tyle i czy przystałby na zdanie, iż „próżniactwo,“ tj. niezarobkowanie przez sześć godzin dziennie, to marnotrawstwo połowy życia? Nie! nie zrobiłby tego. Świadom, że jedynem bogactwem na świecie jest życie, w którem zawarto całą potęgę miłości, radości i zachwytu, raczej poradziłby użyć wczasów na wzmocnienie siły oddechu, na pogłębienie wiedzy i zaostrzenie smaku estetycznego, słowem na „próżniactwo!“

Oszczędność, marnotrawstwo i skąpstwo, pracowitość i próżniactwo, oto cnoty lub przywary, zachwalano albo prześladowane przez ekonomię polityczną. Nadmieniliśmy, że społeczeństwo indywidualistyczne spełnia zadania życia gromadnego w sposób żywiołowy a nieświadomy. Ekonomiści, nie zawsze zdając sobie sprawę ze swego postępowania, podjęli się roli moralizatorów, którzy mają skłonić jednostki do czynów najodpowiedniejszych dla takiego celu. Uwikłali się w pajęczynie własnych wywodów. Społeczeństwo dzisiejsze nie jest jednolite. To, co dla jednego byłoby marnotrawstwem, dla innych będzie uchodziło za oszczędność i nawet skąpstwo: kupno dobrego obrazu lub pianina będą dla mało zamożnej osoby zbytkiem, lecz nikt nie ujrzy w tem nic złego, jeśli ktoś zamożniejszy je nabędzie. Niektórzy ekonomiści, pod wpływem takich rozważań, stworzyli podwójną buchalteryę, zresztą posiadającą pewne ziarno słuszności w sobie: obowiązku oszczędzania dla jednych, rozrzutności dla innych. Doprowadziło to do długich sporów na temat marnotrawstwa. Bastiat nawet napisał cały traktat z tego powodu. Bentham zaś przeprowadził polemikę, której odgłosy zabłąkały się do książki p. Kirszrot-Prawnickiego. Byli tacy, którzy dowodzili, że marnotrawstwo zamożnych stanowi jeden z warunków pomyślności publicznej. Nie chodzi nam o sposoby rozwiązywania tych zaiste scholastycznych zaciekań, ani o to, kto w tej wymianie zdań miał słuszność po swej stronie. Co do nas, pragnęlibyśmy zwrócić uwagę tylko na punkt jeden, mianowicie na to, iż z tych sporów wyziera względność zalecanych zasad i czynionych morałów. Zbytek lub skąpstwo są złe, ponieważ wydają takie to skutki dla pojedynczej osoby lub dla społeczeństwa. A jeśli warunki się zmienią? Jeśli np. bogactwo narodowe tak wzrośnie, iż odkładanie dalsze kapitałów na cele produkcyjne według stopy dotychczasowej będzie jedynie stwarzało nadmiar niewysprzedanych towarów i mnożyło zastój w przemyśle? Czy i wtedy ekonomiści będą zalecali oszczędność? Niewątpliwie znajdą się oni w trudnem położeniu; względy dobrobytu osobistego każą im popierać tę cnotę, obawa nadprodukcyi zaś i uszczuplenia rynków — zalecać coś innego. Jedno trzeba będzie poświęcić. Naturalnie, poświęcą oszczędność, jak to masowo robią amerykańscy przedstawiciele nauki gospodarstwa narodowego. Z pośród wielu przytoczymy zdanie Goulda. *)

„Gdzie zyski są małe, tam oszczędzanie oznacza względnie niski poziom istnienia społecznego. Ludzie oszczędni nigdy nie posuwają się naprzód, nie są też oni na ogół wydajni pod względem przemysłowym. Właśnie człowiek, mający dużo potrzeb — istotnych, uprawnionych potrzeb, nie zaś zbytkowych zachcianek — pracuje wytrwale dla zadowolenia swych pragnień, i takiemu właśnie warto dać zatrudnienie. Niech ekonomiści wykładają wciąż pożytek i niezbędność oszczędności, ale niech socyologowie niewzruszenie nastają, iż uprawianie oszczędności w takim stopniu, żeby to mogło w w. XIX przeszkodzić warstwom niższym postępować w cywilizacyi równomiernie z innemi klasami, jest polityką z punktu widzenia przemysłowego błędną. Nie smuci mię wcale, że Amerykanie nie oszczędzają więcej. Jestem również pewien, że gdyby klasy pracujące, które poznałem na lądzie stałym, były bardziej ambitne pod względem społecznym, to teorye radykalne byłyby mniej groźne. Jeden z najinteligentniejszych przemysłowców, jakich kiedykolwiek spotykałem, mówił mi przed laty, że chętnie dawałby wyższe płace swym robotników, byleby tej zwyżki używali oni należycie, nie zaś gromadzili. Wiedział, że ostatecznie zyskałby tylko na tem, gdyż jedynie dopomaganie nowym potrzebom rodzi inne.“

Jakaż różnica pomiędzy początkiem i końcem naszego wieku!

Przed stu laty industryalizm nabierał dopiero sił do późniejszego swego rozmachu. Kapitałów nawet w Anglii było niewiele i ekonomiści wzięli na siebie zachętę społeczeństwa, ażeby oszczędzało. Nie tolerowano marnotrawstwa nawet wśród warstw zamożnych i nawoływano je do wstrzemięźliwości w imię obowiązków społecznych. Był to okres teoryj, wyprowadzających majątki przemysłowców z samozaparcia, z ascetyzmu. I z pozoru twierdzenie takie było słusznem, bo wielu wybijało się, zebrawszy z oszczędności drobne kapitaliki, za które zakładali własne przedsiębiorstwa. Wstrzemięźliwość kwitnęła wśród drobnego mieszczaństwa i zarówno tam, jak i pomiędzy ekonomistami, uchodziła za najcelniejszą cnotę, za początek i koniec mądrości społecznej. Powstały nowe przykazania — ekonomiczne, nakazujące uszczuplać potrzeby, składać grosz do grosza i gromadzić kapitaliki. Ta formacya ekonomistów jeszcze dzisiaj przeważa na lądzie Europy, zwłaszcza w krajach, zacofanych pod względem wielkiego przemysłu.

Lecz industryalizm po tamtej stronie Atlantyku, oraz w Anglii rozwinął dzisiaj potężne siły wytwórcze. Jak lawina górska rośnie, staczając się po pochyłości, tak samo potężnieją majątki w ręku milionerów i miliarderów. Oszczędności warstw mniej zamożnych przestały odgrywać dawną rolę źródła, zasilającego produkcyę narodową. Jednocześnie ta sama powściągliwość, wycofując środki obrotowe za sferę spożycia, zwęża rozmiary rynku i powstrzymuje dalszy rozwój przemysłu. Ukazują się inne teorye, bardziej liczące się z potrzebami kapitalizmu. Potępiają one oszczędność klas niezamożnych. Ekonomiści, w imię tej samej pomyślności narodowej, polecają trwonienie dochodów! Nie obawiają się nawet zarzutu, iż skazują oni warstwy niezamożne na nędzę w starości i choroby. Mają na to bowiem środki zaradcze: ubezpieczenie wzajemne lub, jak doradza minister angielski Chamberlain, emeryturę państwową.

Czytając książkę p. Kirszrot-Prawnickiego nie znajdziemy najmniejszej wzmianki o tym zwrocie na oszczędność w opiniach ekonomistów. Bentham jest dla niego wciąż jeszcze najwyższem objawieniem prawdy!

K. R. Z.

*) Hobson: *Rozwój kapitalizmu współczesnego* — str. 306.

W DALI.

Rozmowa o furmanach. Należy to do ogólnych upodobań ludzkich, że każdy z nas woli być furmanem, niż koniem; przypuszczam nawet, że gust ten podzielają również konie. Narody wszakże podlejszej krwi i niższego honoru spostrzegły oddawna, że bez koni najlepszy furman wozu nie ruszy, że więc trzeba starać się o siłę pociągową. I postarały się — a niektóre z nich mają tak doskonałą, że ona prawie może się obejść bez furmanów. Widziałem w porcie włoskim cztery osły, wyciągające furę węgla bez dozorcy, który stał na bulwarze i czytał sobie gazetkę. Proszę zważyć: do takiego ukształcenia doprowadzono osły! My nie możemy się pochwalić ani takiem chamstwem, ani taką oświatą. My pojmujemy, że człowiek powinien furmanić, a zwierzę — pracować pod batem. I byłoby wszystko w należytym porządku, gdyby zwierzęta mogły nas wyręczyć we wszelkiej robocie. Ale, niestety, nie są one tak zdolne i często musimy sami zaprzęgać się do niektórych pługów i wozów, gdyż woły i konie ich nie pociągną. Wiadomo, że orać, siać, zbierać plony trzeba nietylko w gospodarstwie ziemskiem, ale także społecznem, gdzie najmądrzejsze bydlę potrzebom nie podoła i gdzie musi je zastąpić człowiek.

Pan Wojciech, właściciel młyna i kawałka gruntu, czytelnik tanich książek i jednego pisma peryodycznego, na tę konieczność się godzi, tylko oburza go zbyt wielka ilość i to bardzo srogich furmanów.

— Bat, panie dobrodzieju, jest to rzecz niezbędna i pożyteczna, ale w umiejętnych rękach. Na lenistwo — doskonały, ale na niemoc — zbójecki. Jeżeli obładuję wóz zbyt wielkim ciężarem, którego koń na grząskiej drodze ruszyć nie może, to co pomoże bat? Chyba dla mnie, ażebym się oduczył okrucieństwa. Podobnie z człowiekiem. Wierz mi pan, ja lubię nasz lud i pragnę szczerze być jego bratem, ale nie mogę pokrajać się na kawałki i rozdarować moim sąsiadom. Kiedyś jeden z nich nasypał mi w mały stawek trutki, od której ryby posnęły i wypłynęły na wierzch wody, skąd wyłowił je opałką w nocy. Pozwałem go do sądu. Pokątny doradca, wiejski zbawiciel i obrońca uciśnionych, spotyka mnie i mówi: Czy panu nie wstyd gnębić takiego biedaka? No i dostałem batem od tego furmana, bo zamożnego gospodarza chciałem ukarać za wyrządzoną mi szkodę i ubezpieczyć się od innych, którzy bez obawy przed odpowiedzialnością wytruliby wszystkie ryby, a w końcu i mnie.

— Tego panu nikt rozumny i uczciwy za złe nie weźmie.

— To mnie odwiczy za co innego, za to np., że nie bywam na zebraniach gminnych, z których raz ledwie życie unio-

słem, że nie oświecam i nie umoralniam ludu — a pan wie, czem to pachnie?

— Wiem.

— Jeśli pan pozwalasz obywatelowi na trzech włókach z młynem myśleć i sądzić o sprawach społecznych, to ośmielę się wyznać, że ci wasi furmani redakcyjni nie mają tyle rozumu, ile komar sadła. Na zwykłą dworską fornalkę pakują wagony, kotły, kolumny, pod któremi pękują osie i których słabe szkapy nawet o cal przesunąć nie mogą. Jest to prawda, że my powinniśmy pracować nadmiernie, bośmy biedni, ale i wysiłek ma swoje granice. Potrzeba zaledwie kilkaset ruchów języka lub pióra, ażeby powiedzieć lub napisać: podnieście dobrobyt ludu, umoralnijcie go, oświećcie itp. Ale czy to znaczy z bicza trzasnąć? Czy wydawcy tych rozkazów zastanowili się nad tem, ile środków i mozołów zużyły bogate i potężne państwa, zanim choć w części spełniły to zadanie?

— Prawda, kochany panie, lecz bez znoszonych pojedynczo cegieł nie można postawić domu.

— Nie przeczę, tylko chcę stwierdzić przysłowie, że „trudniej smykiem, niż językiem." A nadto dlaczego furmani dobra społecznego tak lekceważą nasz rozum i uczciwość? Skończyłem zaledwie cztery klasy realne, tj. mniej więcej tyle, ile połowa naszych Cyceronów dziennikarskich. Rzeczywiście potem mózg ugorował, bo naprzód brakło czasu, a powtóre takie, jak ja, zapleśniałe rondle, w których się ciągle kwaśna bieda gotuje, mają ten okropny zwyczaj, że gdy się raz czem pobielą, to im na długo musi wystarczyć. Bo my czytamy książki od pierwszej stronicy do ostatniej, co trwa długo. Jakem się zabrał do Macaulaja w Listopadzie, to go skończyłem w Lutym. Tymczasem wasi łyżwiarze dziennikarscy wyślizgują się przez jedną zimę po wszystkich literaturach. Pomimo to zdaje mi się, że olej w głowie mi nie zjełczał, że warunki naszego życia znam. Otóż, pytam pana, czy to zuchwalstwo, ażeby mi ktoś odmawiał sumienia i znajomości rzeczy w przedmiotach, około których pasmo całego życia mojego się owija? Dlatego, że nie czytałem Bourgeta, nie znam się z Frenklem, nie rozumiem, co jest dekadentyzm, to mam nie wiedzieć, jakie są prawa i potrzeby naszej gminy lub szkółki?

— Nie wszyscy tak się zastanawiają...

— Jest nas więcej uczciwych i rozumnych ludzi na wsi, niż wam się zdaje. Ale wy przyzwyczailiście się cenić tylko baranów z cienką wełną i pozłacanymi rogami. Dla was literat, malarz, muzyk, aktor i garść panów — to Olimp, a rolnik, drobny przemysłowiec, małomieszczanin, chłop — to stajnia i obora, która powinna słuchać pasterzy i baranów. My jesteśmy tylko raz w rok mądrzy i szanowni: kiedy nas wzywacie do złożenia prenumeraty. Gdy to spełnimy, najmizerniejszy reporter może nam nawymyślać od leniuchów i zacofańców. Gdzie rzeka toczy się w odsłoniętem łożysku, tam łatwo zmierzyć jej szerokość i głębokość; ale gdzie ona biegnie tunelem w skale i tylko miejscami wydobywa się z ukrycia, tam trudno ją zbadać. My rzadko się odzywamy publicznie, a jednak wy tak ściśle odważacie nasze rozumy, jak rzeźnicy wołowe i cielęce mózgi w jatkach.

— Więc według pana, do kwadratury koła, perpetuum mobile i innych nierozwiązalnych zagadnień trzeba dołączyć narzucane wam obowiązki względem ludu?

— O, nie, panie, wiele dla niego zrobić można, ale nie tyle i nie tak, jak od nas żądają. Mnie chodzi tylko o furmańskie baty i o lejce w lekkomyślnych rękach. Niech ich używają ci, którzy mają prawo karcić i doskonale znają drogę.

. . . .

Nie ulega wątpliwości, że pan Wojciech jest dziwakiem. Skoro wszakże dziennikarze ogłaszają *interview'y* z fryzyerami w Paryżu, handlarzami bydła w Brześciu, eunuchami w Konstantynopolu, to dlaczegóż ja nie miałbym ogłosić mojej rozmowy z chudym, ale rzetelnym szlachcicem polskim, zwłaszcza że on myśli i cierpi— szczerze.

J. A.

Płock. D. 4 b. m. otwarto w Płocku czwartą doroczną wystawę koni w połączeniu z jarmarkiem. Ustępuje ona przeszłorocznej pod względem ilości koni obywatelskich. Włościanie przyprowadzili 40 sztuk okazowych, przeważnie młodzieży. Obywatelskich wogóle jest 87. Zjazd ziemian mniejszy niż w latach poprzednich. Jarmark również skromniejszy. Brak inwentarza i nabywców. Największy pokup mają: odzież włościańska i wyroby stolarskie: łóżka, szafy, stoły, kuferki. Wogóle powszechne jest przekonanie, że jarmark płocki z roku na rok upada. Na tegorocznym naliczono zaledwie trzydzieści kilka miernych koni. Bydła dostarczono tylko 15 sztuk jałówek w cenie od 30 do 70 rb., które rozchwytali rzeźnicy w ciągu godziny. Trzody chlewnej 100 sztuk w cenie sprzedażnej od 30 do 50 rb. Pokup niewielki. Najwięcej dostarczono owiec, właściwie tryków. Wogóle ruch na jarmarku mały; dużo tandety z Sierpca, Płońska i Drobina.

Kijów. D. 26 września w Białej Cerkwi otwarto nową szkołę dwuklasową. Przy tej sposobności inspektor szkół gub. Kijowskiej podał szczegóły dziejów dotychczasowej szkoły w Białej Cerkwi. Za staraniem komisyi edukacyjnej w r. 1788 otwarto tam po raz pierwszy szkołę, na której utrzymanie łożyła ówczesna kapituła rzymsko-katolicka. Po wydaniu ustawy z d. 8 grudnia 1828 r., ograniczającej prawa fundatorów, szkołę białocerkiewską, dla braku środków na utrzymanie, zwinięto w 1831 r. W. r. 1838 hr. Aleksandra Branicka, ówczesna właścicielka Białej Cerkwi, pozostawiła legat, w wysokości 285,000 rb., z przeznaczeniem tej sumy na szkoły i na kasę oszczędności dla włościan z dóbr Branickich. Z biegiem czasu legat ten, dzięki przyrastającym odsetkom, urósł do 539,000 rb. Z części funduszu tego założono dwie szkoły: w Kazance i Stawiszczach, na co wydano 40,000 rb. jednorazowo i 6,626 corocznie. Cała zaś pozostałość kapitału zapisowego przeszła do rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych. Ostatnimi czasy dyrekcya naukowa podjęła starania o ufundowanie szkoły w Białej Cerkwi i udzielenie na jej utrzymanie procentów od legatu hr. Branickiej. Ministeryum projekt szkoły przyjęło i udzieliło jednorazowo 1,000 rb. na budowę domu dla szkoły i 575 corocznie na jej utrzymanie.

Piotrków. *Kuryer Warsz.* otrzymał następujące informacye z Piotrkowa: Władze decydujące w kraju nie są w zasadzie przeciwne zatwierdzeniu projektowanej ustawy spółki rolniczej piotrkowskiej, pod warunkiem atoli poczynienia w niej pewnych zmian i dopełnień. Żądane zmiany polegają na tem, aby wszelkie czynności biurowe oraz korespondencya z władzami i osobami rządowemi prowadzone były w obrębie państwa w języku rosyjskim — z instytucyami zaś i osobami prywatnemi mogą być prowadzone i w innych językach; aby nowi członkowie spółki przyjmowani byli bez balotowania, jak również, aby Towarzystwo nie służyło prawo wykreślania swoich członków; aby wszelkie zjazdy i zebrania odbywały się tylko w samym Piotrkowie; wreszcie, aby wybór członków zarządu, jako też wydawane przez tenże zarząd w rozwinięciu ustawy instrukcye podlegały zatwierdzeniu gubernatora.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. We Lwowie postanowiono wznieść pomnik Kornela Ujejskiego.

— Komitet statystyczny ministeryum spraw wewnętrznych opracowywa obecnie materyał spisu jednodniowego ludności w podziale mieszkańców na gubernie. Pracę tę powierzono 1,600 osobom, przeważnie kobietom.

— Na przyszłych zebraniach akcyonaryuszów towarzystw kolejowych w Petersburgu będzie roztrząsany projekt ubezpieczenia wszystkich bez wyjątku pracowników w służbie ruchu, na wypadek nieudolności lub śmierci podczas wykonywania obowiązków służbowych.

— Otwarty w Czerniakowie przytułek dla ubogich dziewcząt opuszczonych utrzymuje obecnie 40 pensyonarek pod kierunkiem sióstr miłosierdzia. Mają się one uczyć szycia, prania, prasowania, naprawiania bielizny i odzieży, gotowania itp.

Szkoły. Uchwalone w r. z. przez ministeryum oświaty założenie kosztem rządu 12 szkół początkowych w gub. Kowieńskiej, wkrótce będzie urzeczywistnione.

— W Ostrołęce postanowiono wznieść budynek dla szkoły elementarnej żeńskiej, na 40 uczenic.

— Do programu nauk szkoły cudzoziemskich korespondentów handlowych w Moskwie wprowadzono języki: chiński, bułgarski, włoski i hiszpański.

— W gabinecie zoologicznym przy uniwersytecie warszawskim otwarto nowy oddział ichtyologiczny, w którym się znajduje kilkaset ryb zasuszonych lub trzymanych w spirytusie.

— *Praw. Wiest.* oblicza, że do instytutu górniczego zgłosiło się w r. b. 1,121 kandydatów, zdawało egzamin 737, zdało 238, czyli 32%, przyjęto 91. Ponieważ wstąpiło nadto bez egzaminów 10 osób z wykształceniem uniwersyteckiem, ogółem więc przyjęto 101, w tej liczbie 9 katolików, 7 ewangelików i 5 żydów.

— Skutkiem powstających często nieporozumień z powodu zmiany wydziałów, rektor uniwersytetu petersburskiego zwrócił uwagę studentów, że przechodzić z jednego wydziału na drugi wolno tylko w pierwszym miesiącu roku szkolnego.

Prasa. Z d. 1 b. m. *Gazeta Kaliska* zaczęła wychodzić codziennie, wprowadziła dział polityczny i telegramy.

Zdrowie publiczne. W Kijowie powstanie sanatoryum dla chorych i słabowitych dzieci, wzorowane na takim zakładzie w Żytomierzu.

Rolnictwo. Według zestawień organu ministeryum rolnictwa, układ terytoryalny towarzystw rolniczych w państwie jest wielce nierównomierny. Tak np. gdy Królestwo Polskie nie posiada ani jednego towarzystwa ogólno-rolniczego, gubernia Kurlandzka (10 powiatów) ma ich 24, a Liflandzka (9 powiatów) również 24. W innych guberniach jest czynnych: w Wileńskiej, Mińskiej i Witebskiej po jednem, w Mohylowskiej 3 itd.

Wystawy i zjazdy. Ministeryum rolnictwa zwoła zjazd ogólno państwowy rolniczy w Petersburgu lub Moskwie.

— Latem r. p. odbędzie się w Moskwie zjazd pszczelarski w połączeniu z wystawą pszczelniczą.

— Ogólny zjazd taryfowy w Petersburgu opracuje taryfy ulgowe dla okazów, wysyłanych na wystawę międzynarodową paryską 1900 r.

— Uczestnicy zjazdu leśników we Lwowie zwrócili uwagę na niebezpieczeństwo, zagrażające lasom galicyjskim. Stwierdzili, że brudnica mniszka rozszerzyła się już w 22 powiatach.

— Na ogólno-państwowym zjeździe młynarskim w Moskwie postanowiono zwołać zjazdy miejscowe, okręgowe. Otóż jeden z nich odbył się w Warszawie, drugi zaś z gubernij północno-zachodnich (Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej i Mohylowskiej) zwołano w Wilnie.

— W komitecie rosyjskim na wystawie paryskiej 1900 r. kapitalista paryski, Osiris, utworzył nagrodę w sumie 100,000 rb. za najlepsze dzieło sztuki i przemysłu.

Koleje i komunikacye. Ruch na kolei Święciańsko-Poniewieskiej będzie otwarty w końcu października. Przystąpiono do przedłużenia linii od Poniewieża do Windawy.

— Na kolei Wiedeńskiej od Nowego Roku będzie zwiększona służba wydziału ruchu (stacyjna i handlowa).

— Sprawa budowy linii kolejowej od Petersburga do Kijowa znajduje się obecnie w takim stanie: w roku zeszłym rząd przeprowadził badania w kierunku Witebsk-Orsza-Mohylów-Homel-Czernihów-Kijów i Witebsk-Orsza-Mohylów-Żłobin-Kijów. W roku zaś bieżącym prowadzone są studya w kierunku Witebsk-Orsza-Mohylów-Bobrujsk-Mozyrz-Owrucz-Żytomierz-Berdyczów i Witebsk-Orsza-Mo-

byłów-Bobrujsk-Nowogród wołyński i Szepietówka. W ciągu zimy nastąpi wybór kierunku, a z wiosną rozpoczęte będą roboty. Budowę linii Petersburg-Witebsk oddano, jak wiadomo, Towarzystwu kolei Moskiewsko-Windawskiej i zależy obecnie od postanowienia zarządu Towarzystwa względem nabycia kolei Carsko-Sielskiej, albo też porozumienia się z koleją Petersbursko-Warszawską lub Mikołajewską co do punktu wyjścia tej linii.

Zmarli. Dr. Władysław Zajączkowski, we Lwowie; profesor i były rektor politechniki lwowskiej. Pozostawił dużo prac naukowych i podręczników szkolnych z dziedziny matematyki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Mar. R. Kilka ogólników i wzmianka o jednym rysunku, czy to charakterystyka artysty, którego u nas nikt nie zna?

Stałemu prenumeratorowi w Łodzi. W dziele prof. F. Reuleaux: *Das Buch der Erfindungen, Gewerbe u. Industrie*, Lipsk, Otto Spamer, znajdzie pan żądane objaśnienia co do pary. Podaje także wskazówki „Poradnik dla samouków.“

Czesławowi. Chcąc odpowiedzieć na wszystkie pytania Pańskie, musielibyśmy im poświęcić co najmniej cały numer *Prawdy*. Byłoby to i niemożliwem i zbytecznem, gdyż niedługo wyjdzie druga część „Poradnika dla samouków,“ w której Pan znajdzie pożądane wskazówki. Artykuły *Prawdy* z podaniem źródła i nazwiska autora tłomaczyć można.

Panu Eust. S. w Ł. Dziękujemy uprzejmie za list i wycinek, chociaż sprawę już znaliśmy. Jest to wypadek przykry, ale nie należy go ani uogólniać, ani przeceniać, zwłaszcza wobec wyraźnej skądinąd tendencyi nadania mu fałszywych rozmiarów i fałszywego charakteru. Fanatyzm nie jest nigdy ojcem cnót, a często bywa ojcem zbrodni, trzeba go wszakże sądzić według pobudek i w granicach, w jakich się objawił. Być może, pomówimy o tym przedmiocie szczegółowo później, gdy rzecz cała należycie się wyjaśni.

Panu W. D. Z obrazka Pańskiego możnaby wywnioskować, że według jego autora cokolwiek i jakkolwiek opisane jest utworem artystycznym.

OFIARY.

Na wpis dla niezamożnych uczniów: Zygmuś B. 1 rb., Włodzio Ł. 50 kop., Lolek C. 50 kop., Staś W. 1 rb., Roman S. 50 kop.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Ва[illegible]

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.